

PISMO DLA RODZIN.

№ 6. Warszawa, dnia 30 Stycznia (11 Lutego) 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie. . . .	rs. 6 k. „	rocznie . . .	rs. 8
półrocznie. .	„ 3 „ „	półrocznie .	„ 4 k. „
kwartalnie. .	1 „ 50	w Austryi roczn.	14 guld.
miesięcznie .	„ 50	w Prusach „	24 marek.

Opiekun Domowy
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr 12. w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego *w Wilnie*, u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 15.

Z PODRÓŻY DO RUIN IŁŻY.

...Była wiosna, więc wszystko świąteczne i nowe,
Ziemia się ubierała w swe szaty godowe,
Sposobiąc się do uczty z owocòw i mleka.
Jechałem pośród lasów: na ich tle daleka
Droga,wijąc się przodem, zdała się jak wstęga,
A świat jak ręką Boga zapisana księga.
Słońce powstawszy ze snu i w kąpieli rosy
Obmywszy tarcz swą świetną, wbiegło na niebiosy
Jasne, czyste, a bliskie już połowy biegu,
Pozłacało krajobraz od brzegu do brzegu.
W jego blasku rój ptastwa trzepiąc się radosny
Swiegotliwą swą pieśnią głosił powrót wiosny.
I z szybkością jaskółki lub wodnej rybitwy,
To swywolny powietrzne wiódł z sobą gonitwy,
To po gałęziach sosen wieszał się i czepiał
Wygrzewając na słońcu—to znów gniazda zlepiał,
A nie mogąc nasycić się szczęścia nadmiarem
Całą przestrzeń napełniał muzyką i gwarem.
A las szumiał i szumiał dumy tajemnicze:
Coś jakby rozpowiadał swe czasy dziewicze,
Coś jakby zadumany o przeszłości gwarzył,
I raz jakby się skarżył...to znów jakby marzył.
Po za nim, w oddaleniu, z jasnego błękitu
Słychać było skowronka pieśń pełną zachwytu
I bezbrzeźnej miłości.—Z nią wpływał do duszy
Przeciągły, melodyjny głos fletni pastuszej.
Cudny koncert! jak gdyby z kwiatów aromatem,
Pan Bóg lesbijską lutnię zawiesił nad światem
I z ojcowską miłością z tych cudów przyrody,
Wszystko swoje stworzenie zapraszał na gody!
Nigdzie na dole smutku, nigdzie w górze chmurki:
Tam błękit—tu zieloność, las, za nim pagórki
Pełne jagód—a dalej, jak balsam na serce,
Przynoszą woń z po za nich kwietne łąk kobierce.
I czujesz, że ci w duszy tak błogo i jasno,
Jak kiedy wszystkie ognie sprzecznych uczuć zgasną
I zmilkuą w piersi ludzkiej namiętności burze.
Słońce dobiegło szczytu. Wzrok utkwiłem w górze
A widząc niespodzianie pośród nieba głębi
Rozpierzchłą ćmę obłokòw, jak stado gołębi
Tchnieniem wiatru z zachodu na wschód niebios gnane,
I przeczuwając bliską w powietrzu odmianę:
Już zacząłem żałować owych słodkich wrażeń,



Z albumu Grottgera. Rysował na drzewie Młodnicki.

Rusinka.

Myśl zwracać do podobnych w swem życiu wydażeń,
Dumać o wiecznej w świecie wrzawie i rozterce,
Próżnych rządzach spokoju— gdy wraz całkiem różny
Widok, w odmienną stronę zaniósł myśl i serce.
Z cieniów leśnej gęstwiny, mój wózek podróżny
Wynurzał się pomału na błonia otwarte.
Lecz te, miast zbożnych łanów, nagie i odarte
Z owej bujnej zieleni, jaką ludzka praca
Z miłością swą rodzinną ziemię ubogaca,
Zostawione odłogiem i pługiem nietknięte,
Martwe (chociaż w koło nich wszystko uśmiechnięte
Nowem życiem), zarosłe; cierń, oset i głogi,
Smutny sprawiały obraz. Za temi odłogi,
W dalekiem oddaleniu jak zasięgnie oko,
Czerniały mnogie punkty: to właśnie domostwa
Starodawnego grodu; nad niemi wysoko,
Jak posiwiała macierz, śród prawnuków mnóstwa,
„Na wyniosłym, najwyższym z gór sąsiednich szczycie
Usiadła stara baszta.“
Jedźmy! śmierć i życie
To temat do rozmyślań. Czemuż gdy dokoła
Maj kwitnie, i przyrody w krąg brzmi pieśń wesoła,
To ziemia świeci pustką i sterczy ruiną?...
Żali ludzkie zabiegi tak tu marnie giną,
Że i pracy nie warto?...
Tak wbiegłszy z świata zjawisk nagle w myśli światy,
Rzuciwszy jednodniowe i troski i biedy,
Marząc szczęśliwą przyszłość, anim wiedział kiedy
Wjechałem między miejskie starej Iłży chaty.
Było późno—już słońce na zachodzie gasło,
W mieście zalegał spokój, milkły dzienne gwary,
I tylko z szumem wiatru zmrok wieczora szary
Niósł ziemi tęsknych marzeń i spoczynku hasło.
Niebo na obraz duszy tracąc blaski słońca,
Zarumienione wstydem u jednego końca,
U drugiego się kryło w czarnych chmur zasłonę.
Na tle jego posępnem—gdy wszystkie w natłoku
Barwy i kształty, w zmierzchu, niewyraźną oku
Brały na siebie postać; gdy stały zamglone
W chaotycznym nieładzie; gdy zmrok tajemnicze
Stwarzał jakieś z nich widma, a wiatr już poczynał
Jęk nocny—na tle nieba posępnem, jedyna
Śród chaosu, zczerniałe wiekami oblicze
Ukazując, sterczała samotna ruina.
Widnokrąg wiankiem czarnych borów opasany,
Zdawał się w cieniach nocy jak przeszłości cmentarz..
Gdzie spojrzę, wszędzie ciche usiadły kurchany,
Przed okiem duszy staje tłum dziejowych zdarzeń,
Spiesząc coraz to szybciej, choć meta już bliska;
Kiedym nakoniec stanął śród grobowej głuszy
Na samym ruin szczycie, niby *król zamczyska*:
Było już całkiem ciemno i chmury dalekiem
Czarnym się do okoła pasmem rozpostarły,
Gasząc ostatnie blaski. Ruch i gwar zamarły,
Nastała noc i cisza jak pod trumny wiekiem...

Mir. Dobrzański.

WYCHOWANIE LUDU.

PRZEZ

Emila Laveley'a

przełożył

Ludwik Szteinbok.

(Ciąg dalszy)

ROZDZIAŁ III.

Bezpłatna nauka.

Głosując za przymusowem nauczaniem, czy należałoby uczynić je bezpłatnem dla wszystkich? Łączenie tych dwu zasad nie jest konieczne. W Niemczech, Szwajcaryi i innych krajach, nauka jest przymusową, chociaż wcale nie jest bezpłatną, i większa część ekonomistów, zgadzając się na przymus, przeciwni są bezpłatności. Mnie się jednak zdaje, że w krajach, gdzie nauczanie wolno się rozpowszechnia i gdzie przymus byłby nowością jak we Francyi i Belgii, trzebaby łączyć te dwie zasady. Właśnie bezpłatność wprowadzona w szkołach duchownych, przyczyniła się do ich postępu. Kongregacyje naukowe we Francyi, od dwudziestu lat podwoiły liczbę swych uczniów i zdobyły około milijona dzieci, liczbę zaś członków potroiły. W roku 1843 liczyły 16,958 członków, z których 3,218 było mężczyzn a 13,830 kobiet i 7,590 szkół z 706,917 uczniami, a w r. 1864 członków 46,840, z których 8635 mężczyzn a 38,205 kobiet i 17,206 szkół z 1,610,674 uczniami,—postęp zadziwiający, a nawet przestraszający przyszłość, z uwagi na niebezpieczne zasady ultramontańskie, których kongregacyje te są oddanemi wyznawcami.

Potępiają bezpłatną naukę mówiąc,—że naród, a przedewszystkiem lud prosty, szanuje to tylko, za co płaci, i że dziecko nie skorzysta z nauki udzielonej mu jako jałmużna, fakta jednak dowodzą, że zarzuty te nie są uzasadnione. Ważne sprawozdanie p. Duruy we Francyi z r. 1867 przekonywa nas, że dzieci płacące za naukę, mniej regularnie uczęszczają do szkoły, niż nie płacące. Ten sam fakt przedstawiają dokładne wykazy w Belgii. Przecięciowo liczba dni obecności uczniów, płacących była 181, nie płacących zaś 184, chociaż ci ostatni jako należący do biednych rodzin, mają więcej powodów do nieobecności w szkole.

W kilku prowincyach belgijskich gdy powiększono opłatę szkolną, zaraz pewna liczba rodzin przestała posyłać dzieci do szkół. W związku amerykańskim w kilku stanach jak New-York, Connecticut, Michigan i New-Jersey, pewna opłata szkolna (rate bills:) wymagana była, a gdy ją w ostatnich latach zmniejszono, zaraz powiększyła się liczba uczniów.

Liczne wyższe kursy we Francyi są bezpłatne. Nie są one puste, bo właśnie ta bezpłatność zaludnia je.

W 1863 roku 5,000 szkół gminnych na 52,000 było bezpłatnych, a czyż mniej były uczęszczane? Nie, nawet więcej.

W r. 1791 na wniosek Talleirand'a zadecydowana była we Francyi bezpłatna nauka. Zasadę tę Talleirand doskonale usprawiedliwiał. „Społeczeństwo, mówi on, powinno przedewszystkiem płacić za to, co potrzebne jest do jego obrony i zarządu, bo przedewszystkiem powinno obmyślać środki własnej swojej egzystencyi. Ono nie może nie płacić za to, co potrzebne do zapewnienia każdemu użytkowaniu ze swojej własności, co chroni stowarzyszonych od mnóstwa nieszczęść, na jakie bezustannie narażeni byliby bez organizacyi społecznej, nakoniec co pozwoli użytkować z dóbr publicznych, które mają powstać z dobrego stowarzyszenia; oto 3 cele dla których społeczeństwa się tworzą, a ponieważ jasną jest rzeczą, że nauka trzyma zawsze pierwsze miejsce między temi korzyściami, musimy więc przyjść do przekonania, że społeczeństwo powinno także płacić za wszystko, co jest konieczne, aby nauka mogła być zdobytą przez każdego z członków tego społeczeństwa.“

Kwestyja ta redukuje się do tego; czy w społeczeństwie demokratycznem i w kraju ogólnego głosowania, konieczną jest rzeczą dla zapewnienia porządku społecznego i zachowania swobodnych instytucyi, aby wszyscy obywatele byli przynajmniej tyle oświeceni, żeby mogli zrozumieć swoje przywileje i wypełniać obowiązki obywatelskie; czyli innemi słowy czy trzeba niemniej energicznie walczyć przeciw nieprzyjaciołom wewnętrznym ciemnocie i sile, jak przeciw zewnętrznym? Jeżeli odpowiadamy tak, jakże można przeczyć powyższemu mniemaniu? Trzeba ostatecznie zawnioskować, że nauka tak jak sprawiedliwość i wojsko, służą dla pożytku publicznego, i przez podatek powinny być zaopatrywane.

Bezpłatność ma wielkich przeciwników. To jest czysty komunizm, mówią oni. W takim razie zawsze, kiedy władza publiczna w interesie gminy tworzy pewien rodzaj służby, przez kontrybucyje na wszystkich nakładane,—tworzyłaby komunizm. Kommunizm kiedy miasto brukuje ulice, oświetla je i odświeża, wysadza drzewami, upiększa i strzeże przez ajentów. Ogół płaci usługi i on też z nich korzysta. Jeżeli więc miasto ma prawo organizować naukę publiczną, — oświeca latarnie dla rozpędzenia ciemności nocy, które sprzyjają zbrodniom, dla czegóżby nie mogło rozproszyć ciemnoty umysłowej, która jeszcze więcej rodzi złego.

Liczba krajów sprzyjających bezpłatnej nauce, wzrasta bezustannie. Oprócz stanów zjednoczonych, można przytoczyć Włochy, Daniję, Chili, Portugaliję i wiele kantonów w Szwajcaryi. Nawet Hiszpanija pomimo krytycznego położenia pod względem finansów, w jednym artykule konstytucyi swej z r. 1869, zniosła opłatę szkolną. Prusy to samo zrobiły w Art. 24 teraźniejszej konstytucyi. Zgromadzenie narodowe frankfurckie z 1848 r. uświęciło bezpłatne nauczanie w Konstytucyi, za którą głosowało, i na której powagę można się powołać. Nigdy zgromadzenie polityczne nie było lepiej przygotowane do rozwiązania kwestyi wychowania publicznego, jak powyższe zgromadzenie, zawierające w swem łonie wielu profesorów i ludzi miłujących naukę.

Konstytucyja głosi:

Art. IV § 19. „Żadna opłata nie będzie wnoszona za naukę w szkołach początkowych, i wyższych sztuk i rzemiosł. Szkoły dla biednych znoszą się.

P. Paur sprawozdawca komitetu wychowania publicznego, powiedział: „Komitet sądzi iż jest rzeczą wielkiej wagi, aby podobne zakłady już w młodości nie odsłaniały tego wyłączenia proletaryjatu, odepchniętego przez porządek społeczny.“ P. Goltz deputowany w Brig tego samego jest zdania. Trzeba strzedz bardzo, aby dzieci klas biednych, siedząc na jednej ławce z zamożnemi dziećmi, już w młodym wieku niedowiedziały się o różnicy, jaka oddziela biednych od bogatych; a dziecko biedne siedząc w szkole na zasadzie tego samego prawa co i zamożne, nic nie

uczuje, gdyż tak jedno jak i drugie nic nie płaci za wstęp do szkoły. *).

Posądzanie więc o kommunizm *) nie jest uzasadnione; lecz oto zarzut więcej usprawiedliwiony: Bezpłatna nauka publiczna zadaje cios nauce prywatnej. Pod pewnym względem jestto prawdą i do tego smutną. Państwo powinno jak można najwięcej dawać swobody w działaniu jednostkom, i wstrzymywać się od działania samemu, chociaż znów jeżeli potrzeba pewnej usługi, której usiłowania pojedyncze nie są w możności uorganizować, wtedy państwo koniecznie powinno współdziałać. Jeżeli dla rozpowszechnienia oświaty, która jest niezbędną, potrzeba koniecznie bezpłatności, to pomimo pewnych niedogodności jakie przedstawia, trzeba ją ustanowić.

Utrzymują że bezpłatność sprzeciwia się interesowi biednych, którym chcielibyśmy wyświadczyć łaskę. Dzisiaj są oni wolni od opłaty szkolnej, tylko rodziny zamożne płacą ją; lecz jeżeli wydatki na naukę mają być całkowicie zaspakajane przez podatek, to i biedni przyczyniają się w pewnej części do tego, bo pewna część podatku przypada na ich udział. Zarzut ten byłby uzasadniony gdyby na koszta wychowania, używano tylko funduszów z budżetu państwa, lecz w Ameryce na pokrycie większej części wydatków szkolnych, nakładają rodzaj podatku specyjalnego na kapitały, a podatek ten gmina uchwala i rozdziela na mieszkańców, stosownie do ich dobytku. Tego rodzaju podatek miejscowy i specyjalny, jest znakomity,—jest on pochodzenia anglo-saskiego. Kontrybucyje powinny być na miejscu ogłaszane, pobierane i zużytkowane, bez ściągania ich do pewnego miejsca, żeby miały być rozsyłane następnie największej nędzy, w formie łask i zapomóg. W Europie każda prowincyja i każda gmina starają się jak tylko można najmniej płacić, aby wszystko pokryte było z budżetu państwa, a nie wiedzą o tem że wówczas, każdy przez pośrednictwo państwa płaci za sąsiada, byłoby więc daleko prościej, żeby każdy płacił za siebie, rezultat byłby ten sam, z tą tylko różnicą, że pewna część pieniędzy nie potrzebowałaby odbywać podwójnej drogi z pewnych miejscowości do ogólnej kasy, a z niej napowrót w różne miejsca. *d. c. n.*

---

*). Discussions de l'Assemblée de Francfort sur l'instruction publique—Tłomaczenie P. Reyntieus str. 169.

**) Żeby przekonać jak to oskarżenie jest bezzasadne, dosyć jest przypomnieć, że jeden z najwiarogodniejszych przedstawicieli Ekonomii Politycznej I. B. Say oświadcza się za bezpłatną nauką,, Położenie prostego robotnika w maszynie produkcyi społecznej daje mu zarobek taki tylko, jaki mu jest potrzebny dla podtrzymania egzystencyi; zaledwie może wychować swoje dzieci i nauczyć je jakiego rzemiosła, a nie jest on w stanie dać im takiej nauki, jaką my uważamy za dostateczną dla dobrobytu społecznego. Jeżeli społeczeństwo chce mieć zyski z takiej nauki klas niższych, powinno ją udzielać własnym kosztem. Do tego służą szkoły gdzie uczą bezpłatnie czytać, pisać i rachować. Naród w którym wszyscy mieszkańcy nie posiadają chociaż takiego stopnia oświaty, nie jest ucywilizowanym. Bez tego nie jest jeszcze zupełnie wydobytym ze stanu barbarzyńskiego z (: Econ. Od: III Roz. VI:

ŚWIETNE WIDOKI PANI MARCINOWÉJ.

OBRAZEK Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

przez **Felicyjana.**

(ciąg dalszy)

Skutkiem snu tego, w poniedziałek, od samego rana, Migdalska miała kłopot, jaki nie zdarzył jej się jeszcze ani razu w życiu. Zajrzawszy bowiem do sennika, oto co tam znalazła.

„Przy woskowych świecach przez ogród iść — dobre powodzenie. — Cymbał — grać na nim — zamieszanie w domu. — Bałwany widzieć, a na nich okręt — wielki zysk. — Bałwany na przeciw siebie bijące widzieć — wielkie nieszczęście.“

Bądźże tu mądry! — Ale nie tu jeszcze koniec. W chwilę potem przybiegła zziajana Magdusia, zasięgając jej rady: co może znaczyć, że się pani Marcinowej całą noc śnił Pietrzycki golący straganiarkę, grubo wysmarowaną mydłem z własnego jej sklepiku? Na to zaś w senniku było następujące wyjaśnienie:

„Cyrulika golącego widzieć, gdy jest znajomy — dobrze: skoro nieznajomy — strata.“

Otóż Pietrzyckiego pani Marcinowa zna wprawdzie — ale cóż, kiedy bez końca powtarza: że go znać nie chce? — jakże tu tedy rzecz tę rozstrzygnąć?

W dalszym ciągu dnia tego feralnego, mamy z kolei do opowiedzenia wyprawę nieszczęśliwą pana Jacentego — wyprawę, na którą się udawał dziwnie pewny niezachwianego swych włosów położenia, wracał zaś z opadłem takowych stanowiskiem, nie żeby ręka pani Marcinowej — broń Boże — wstrząsnęła ich posadę, ale że przy niewłaściwem tej osoby zachowaniu się, doznał silnego wzruszenia, które je naprzód dębem ze zgrozy podniosło, następnie zaś na kołnierz bezładnie powaliło. Długo by o tem mówić — dość że ku końcowi wymieniono kilka tak dotkliwych przycinków, że od jednego razu (jak się Julka wyraziła) rzecz poszła na noże.

— Moja pani siostro — mówił rozumnie pan Jacenty — powinnabyś się przecię zastanowić, że za takiego młodzika chcieć się wydać osobie poważnéj...

— Mój panie bracie — sam dla siebie twój ten morał zachowaj — bo tu Bogiem a prawdą mówiąc, garnkowi kocioł przygania.

Pan Jacenty się zaperzył.

— Co to kocioł? kto tu jest kocioł? co to znaczy?

— To znaczy: żeś sobie pan Jacenty Julką głowę łysą zaprószył. Myślisz pan Jacenty że nie wiem — choć udaję? A przecię ona mogłaby być pana brata wnuczką. Ja tam nie potrzebuje żadnych przytyków. *Każden* tak robi jak mu się widzi. Za młodszego — patrzcie go? dziwna chłopu wątroba!

Na wspomnienie Julki, pan Jacenty oniemiał, a następnie zrobił się okrutnie czerwony.

— Chłopu? Komu to wasani mówisz: chłopu?

E, daj mi tam wasan święty pokój! u wasana w głowie jak w Trybunale....

Wspomnieliśmy poprzednio: że w pewnym wyjątkowym razie, włosy panu Jacentemu ze zgrozy na głowie powstały. Osobliwsze to zjawisko stało się właśnie w chwili, w której mu ów trybunał nieszczęśliwy tak obcesowo z kopyta w twarz wymieciono.

— Coś to wasani powiedziała? zawołał znagła trzęsąc się cały, podczas kiedy coś aż głos mu w gardle zatykało. Żeby mi jedna głupia baba tak sobie oto o Trybunale gadać śmiała? a! to już chyba świata skończenie? Czy wiesz wasani co to Trybunał? — ja cię tu nauczę! Trybunał! — no proszę! Dam ja tu wasani Trybunał — aż ci w pięty pójdzie — obaczysz! —

To powiedziawszy, wyszedł śpiesznie, i ogromnie drzwiami trzasnął. Skutkiem tego, Rejent wiszący w szybie podskoczył bardzo obrażony — świeczki poczęły się niespokojnie w bok trącać, aż wreszcie kiedy mieszek z westchnieniem w dół opadł, to się tak wydało: jakby z nim razem upadła wszelka nadzieja zagodzenia tej sprawy w sposób polubowny.

Że zaś jak wiemy, jedno strapienie zaraz dla wielu innych złym przykładem bywa, stało się tedy: że zaledwie pan Jacenty próg ustroni swojej (pociechy w niej szukając) przestąpił, ażci niebawem odniesiono mu szpaka, który według jego zaręczenia powinien był wołać: — „Maćku! daj tabaki! — Harków drutował! — Kurr-jerek Sswią-teczny!“ — a tymczasem bez końca tylko powtarzał: — „massa, znakomicie — niewłaściwie“ — i tym podobne rzeczy mniej potrzebne, których wcale od niego nie żądano.

Na tem też skończymy niniejszy rozdział, któremu, jak się patrzy, nie bez powodu, zawczasu już napisaliśmy na czole trzynastkę.

ROZDZIAŁ XIV.

Apollo Bożek promienisty.

Wątpliwości nie ulega: że jak raz tylko panna została z kim zaręczona, to już ten ktoś bierze na siebie święty obowiązek pilnować jej jak oka w głowie — za czem też idzie: że można mu ją najzupełniej powierzać — co znaczy· że obojgu wolno z sobą chodzić gdzie się jedynie jej lub jemu podoba — i że jak tylko są razem, to się już chyba żadnemu nic złego nie stanie. Tak przynajmniej rozumowała pani Marcinowa, i zdaniem swojem rozumowała całkiem zdrowo — wiemy zaś: że rozumować z sobą komu drugiemu nie bardzo dawała — za czem też i ten ktoś drugi wcale się nie śpieszył — a tak działo się według tego jak chciała pani Marcinowa, która (ani się domyślając) chciała poprostu tego samego co Agatka, która znów (ani wiedząc o tem), chciała tego co pan Edward. Pan Edward zaś....

Ale naprzód, z zaręczynami owemi rzecz tak się miała: że pan Edward, żadną miarą nie życzył sobie rozgłosu. Ten rozgłos bowiem, z pomocą Pietrzyckiej i jej podobnych, mógł dójść przypadkiem do uszu jego wuja, człeka

z bystrym słuchem, a tak wrażliwym na niespodziewane dźwięki, że mogło go to chwilowo źle usposobić, co by nawet nie było bez pewnych następstw majątkowych. Co innego z przygotowaniem go stopniowem — ale na to trzeba czasu. Ten wuj nazwiskiem.... nie — dla tem większej ciszy nie ma on nazwiska — ten wuj tedy, jest to stary kawaler nigdy się żenić nie myślący — dziwak wielki — któremu trzeba dogadzać. O! pod każdym względem! no i nic dziwnego — ma wieś swoją własną *ten stary*, i także grubo grosza — ale o tem wszystkiem — sza! — na miłość Boską! — bo to ludzie zaraz rozgadują, zazdroszczą — gotów nawet kto popsuć wszystko przedwczesnem paplaniem.

Skutkiem tych rozmaitych względów, zaręczyny jak się rzekło, odbyły się w tajemnicy, (Julkę wtedy wysłano po piwo) — w tak zupełnej tajemnicy, że pani Marcinowa powiedziała tylko o tem Magdusi, a ta się zaprzysięgła: że nawet panu Jacentemu nic a nic nie powie, i dobrze się stało jak widzimy, bo ten człowiek, nie dalej jak nazajutrz, okazał się zdolniejszy do zdrady jak do rady.

W niedługą chwilę po zaręczynach, że pani Marcinowa, jak wiemy, niedomagała, wybrali się państwo młodzi we dwoje do teatru na „Sinobrodego.“

Aj! aj! co to za zbrodniarz ten Sinobrody! ile to on żon wydusił! A nie będziesz ty taki panie Edwardzie?

— Ha! ha! kto to wie?

— Cicho ty niegodziwcze — tak powiedziała Agatka, zatykając mu ręką usta — a on tej ręki o mało nie zjadł tak ją całował!

Po teatrze, przyszli się tylko przebrać, i polecieli co tchu sankami na maskaradę.

Żyby was tam! Ktoby ich poznał!

Pan Edward wykręcił skądś ubiory Krakowskie. Agatce tak było do twarzy, że wolała by zostać bez maski — ale dla przyzwoitości wypadało koniecznie zakryć czarną mordką małpią świeży buziaczek. O! bo pan Edward ogromnie był za przyzwoitością — trzeba wiedzieć. Raz się Agatka naparła, żeby ją zaprowadził do Tivoli. — Za nic w świecie! — tam nie bywa nikt dobrze wychowany — (w czem się mylił, gdyż jak wiemy bywa tam nawet sam cymes towarzystwa, a jednak w niczem mu to nie ubliża). Słowem że Agatka tam jedynie bywać mogła i bywała, gdzie pan Edward w niezmiernej surowości swojej, za właściwe uznał. O! jużto ona była bardzo pilnowana, ta Agatka!

Tak też i z maskarady onej, wrócili dopiero nad ranem — nic dziwnego toćże to zabawa, która w najlepsze zaczyna się dopiero wtedy, kiedy wszyscy spać się kładą. Co prawda, dużo tam czasu zabrała wesoła kolacyjka, nie bez pukającego szampana — ale o tem Agatka całkiem przemilczała.

Już to od pewnego czasu, nie wszystko ona powierzała swojej matce — kobiecie mocno od siebie niższej, dosyć sobie prostej, mającej liczne przesądy i tym podobnie. Pani Marcinowa sama coraz większą spostrzegała w niej zmianę — ale co tam na to zważać! — taka to już moda: żeby jaja mędrsze były od kury — panna robi się *wymarcypowana*, nabiera szyku — zwyczajnie osoba światowa — zresztą to już przyszłego męża rzecz.

Nazajutrz, Agatka spała jeszcze w najlepsze, kiedy zaszła owa niemiła rozprawa z panem Jacentym. Dowiedziawszy się o niej, pan Edward natychmiast pobiegł przejednać obrażonego dostojnika. Jakoż wrócił niebawem, zapewniając: że pan Jacenty ma nie mało roboty na jakie dni parę — ale że potem (wysapawszy się) przyjdzie znowu podawnemu — prosił tylko: żeby już o całem tem zajściu raz na zawsze nie było mowy. Pan Edward był nawet u Jerzusia, ale go ten o mało za drzwi nie wypchnął, niestworzone rzeczy o pani Marcinowej wygadując — o Agatce — także o panu Jacentym, wikarym i podleśnym (tego ostatniego nazwał nawet fagasem u *jakiegoś* hrabiego) — jednem słowem, nie obwijając rzeczy w bawełnę: człowiek źle wychowany. Pan Edward zrobił co mógł — cóż kiedy się nie dało. Chciał rzecz zagodzić — ale trudno, lepiej dać już temu pokój.



Co do Agatki to ta była już jak u siebie.

Złote też to serce u tego człowieka! Toćże on od wczoraj pana Jacentego wujem nazywa, także wikarego, a podleśnego kuzynem. Pani Marcinowej zaś mówi: mamo (ale wszystko to po cichu, bo nużby broń Boże kto posłyszał!).

Tegoż dnia zaprowadził obie *panie* do najętego już na przyjęcie Agatki mieszkania. Co tam za meble były — gwałtu! Aksamitem czerwonym wybijane. Pani Marcinowa zrobiła się jeszcze od tego aksamitu czerwieńsza. Jak tu siadać na tem wszystkiem?

Co do Agatki, to ta była tam już jak u siebie — nic jej nie dziwiło — przechadzała się, oglądała wszystko, czasem nawet miała coś do zganienia (skąd jej się to wzięło?) nareszcie zażądawszy papierosa, poczęła się w fotelu na biegunach bujać, a kiedy to robiła, to we wszystkich zwierciadłach widać było jaka ona wielka pani. A była tych zwierciadeł wszędzie moc okrutna także różnych rzeczy na ścianach przepaść; a dopiero obicia na nich, a portyjery we drzwiach, a firanki u okien — a pachniało wszędzie — no! —

Tamże pan Edward po czekoladę posłał, którą gdy wypito, po drodze jeszcze cukierków Agatce kupił i pomarańcz, na co wszystko musiał wydać najmniej ze dwa ruble.

Pani Marcinowa, do najwyższego stopnia oczarowana, milczała, jakby jej kto gębę zalepił. Ona, tak zwykle pewna siebie, tak zamaszysta, znagła jakby z niej kto cały rezon zdmuchnął, uczuła się aż do ziemi przypłaszczoną.

— No nie bez tego żeby człowiek nie miał mieć także swoich własnych (znanych światu) kolligacyi, i rewizorem był jej mąż, a jużci także rewizora tak łatwo w kaszy nie połknąć, ale znowu obywatelstwo i te meble aksamitne, modny szyk i zwierciadła w złoconych ramach i woskowana posadzka — no, no, ten Edward, to widać zaraz paniczyk — pan z panów!

Dla Agatki przejęło ją zabobonne uszanowanie.

— Dziewczyna w czepku na świat przyszła czy co? — dalibóg nie pamiętam. Ale nie ma gadania — do karety ją wsadź, będzie u siebie.

Nieraz brała ją ochota mówić jej: „pani.“ Julkę nawet skarciła, że się zanadto z nią spoufala.

Ale cóż, kiedy znowu pan Edward koniecznie chce żeby mu mówić: ty — czy, to nie będzie przypadkiem ktoś za pan brat z pastuchem. W takich razach drażliwych, najlepiej podobno jak najmniej się odzywać — bo ten język przeklęty tak trudno jakoś na stare lata do salonowego użycia przykrócić!

Mówiąc to sobie pani Marcinowa, sama niewiedząc czemu wzdychała, mocno przygnębiona....

ROZDZIAŁ XV.

Apollo dogania Dafnę.

Dnia następnego, Edward wyglądał jakoś nie swój, zamyślony czegoś, roztargniony — często wychodził na miasto a na krótko wracał. Zapytany, twierdził: że go głowa boli, że ma jakieś listy do pisania, że coś odebrał z poczty — ale do kogo? co? jak? — ani go się dopytać — bez końca tylko dawał słowo honoru: że nie od wuja. Wieczorem przyszedł jak zwykle, ale był osowiały, mało mówiący, narzekał na kłopyty i wyszedł razem z Magdusią: żeby ją odprowadzić do domu.

Nazajutrz napróżno go Agatka czekała do rana. Południe nawet nadeszło, a Edwarda ani śladu. Niespokojna czy nie chory, posłała Julkę na wywiady. — Mieszkanie zamknię-

te, klucz wziął z sobą — stróż powiada że wyszedł bardzo wcześnie, bo nawet nie kazał nastawiać samowara. Agatka rady sobie dać nie mogąc, raz wraz spoglądała w okienko, każde drzwi skrzypnięcie bicie serca jej sprawiało. Pod różnemi pozorami na ulicę się wymykała — raz nawet ukradkiem pobiegła na górę — zamknięte — klucz wyjęty — więc istotnie nie ma Edwarda w domu — więc nie chory — ale co mu się stać mogło?..

Nad wieczorem nadeszła Magdusia.

— Jakto? Edward dotąd nie był? to rzecz dziwna! cóż to być może? Wczoraj kiedy ją odprowadzał to na pożegnanie w gors ją pocałował, mówiąc wzruszony: — Panno Magdaleno (tak mówił) pani przynajmniej niech zachowa po mnie przyjemne wspomnienie.

Agatka nie widziała głupszej sroki. — W gors ją pocałował — taką brzydotę! jużby też powinien mieć przynajmniej smak wykwintniejszy. Nieznośna papuga! plecie jak na mękach. Ale wzruszony był — powiada i żegnał się jakby na zawsze. — Agatce serce zamierało w piersi. Magdusia śmiertelnie ją nudziła. Nareszcie po jakiejś nieskończonej godzinie, na szczęście precz sobie poszła.

Agatka zaczęła płakać — co ona łez wylała! Pani Marcinowa nie wiedziała już jak ją pocieszać. — Ona od wczoraj uważała: że mu coś jest — należało go wypytać — on przecież przed narzeczoną nie powinien mieć nic skrytego. — Kiedy nadejdzie — myślała sobie — bo juźcić dyjabli go nie *wzieni* — czyli raczej że się nigdzie nie zapodział — daję słowo — to ona zostawi ich samych — niech się sobie nagadają — może się pokłócili o co — kto ich tam wie? najlepiej w takim razie palca we drzwi nie wtykać.

Jakoż istotnie nadszedł Edward w czas jakiś. Agatka ujrzawszy go, jakbądź blady wyglądał i pomieszany, poskoczyła ku niemu z gwałtownym wybuchem:

— Ślicznych rzeczy się o tobie dowiaduję—

— Cóż takiego?

— Pocałowałeś wczoraj Magdusię. Wstydź się — jest to czyn co najmniej niegodziwy —

— Ja? Magdusię? to wywiędłe czupiradło? Kto powiedział?

— Ona sama —

— Słowo honoru — skłamała — słowo honoru.

— I do tego byłeś mocno wzruszony, i powiedziałeś jej: że tylko ona jedna mile ciebie wspomni. To w takim razie ja już niczem tobie nie jestem — to w takim razie najlepiej się rozstańmy — to w takim razie porzuć mię, i niech umrę z boleści, i niech nawet nikt na moim grobie nie zapłacze —

— Ale kiedy w tem co ona mówi, nie ma ani słowa prawdy.

— Wszystko to jedno. Niech się znajdzie ładniejsza odemnie, to jestem pewna że mię dla niej porzucisz — w takim razie lepiej dziś skończyć —

— Ładniejsza od ciebie? czyż ty myślisz że to podobna?

Agatka pomimo łez ukradkiem spójrzała w zwierciadło.

— Przysięgnij mi: że ani razu drugiej żadnej nie powiedziałeś tego, co mnie mówisz.

— Moja Agatko — zadrość zaczyna ci odbierać rozsądek —

— Zazdrość? może o Magdusię? jeszcze czego! o! bardzo proszę! Pogardzam nią — nienawidzę jej — a o ciebie nie dbam i zrywam z tobą, i znać cię nie chcę, i daj mi święty pokój — bo sobie życie odbiorę —

— Są to tylko wymówki z romansów których trochę za wiele czytałeś — ale cóż robić! Daję ci słowo honoru: że cię kocham nad wszystko w świecie, i że nie przeżyję naszego rozłączenia — ale kiedy chcesz koniecznie.... ha—słowo uczciwości...

Mówiąc to, brał za kapelusz.

Agatka rzuciła się ku niemu, zanosząc się od płaczu.

— Boże! jaki ty jesteś nieznośny! Kiedy ci mówię że bez ciebię żyć nie mogę — że oszaleję jak mię opuścisz — O! ja nieszczęśliwa! już mię nie kochasz!

Edward z dziwną flegmą posadził ją na stołku, pocałował w czoło, i rzekł z głębokiem westchnieniem:

— Istotnie, może to by i lepiej było, jak radzisz, wcześnie się nam rozstać z sobą. Na nieszczęście, ja tego nie potrafię. Z resztą i sił już nie mam myśleć nawet o tem. Głowa mi pęka.

— Prawda. Co ci jest? Blady jesteś — chory jesteś —

— Nie — nie chory —

d. c. n.

ZARYSY

Gubernij północno-i południowo zachodnich.

Skreślił

Jan ze Śliwina.

(Ciąg dalszy).

Podobny do Miednickiego, a może jeszcze starożytniejszy istnieje dotąd zamek w ruinach, w mieście powiatowem Lidze, o mil 12 od Wilna na trakcie grodzieńskim położonem. Lida w czasach odległych przed Gedyminowskich była już stolicą księztwa lidzkiego. Kształt zamku tutejszego, dziś w czworo-grannych czerwonych murach pozostałego, jest zupełnie ten sam, jak zwalisk zamkowych w Miednikach. Ocalała jeszcze baszta i przekopy widoczne. Lida stanowiła własność rozmaitych książąt udzielnych, ulegała napadom krzyżackim. Za czasów Jagiełły gród ten oddany był Wojdylle, człowiekowi nizkiego pochodzenia, nikczemnego charakteru, a który jednak intrygą i podłością umiał do takiego stopnia opanować słabym umysłem Jagiełły, że ten wbrew woli stryja Kiejstuta wydał za niego za mąż siostrę rodzoną Maryją. Gdy się wykryły wielorakie jego zbrodnie i podżeganie do niezgody w rodzinie wielkoksiążęcej, Kiejstut rozkazał powiesić Wojdyłłę. Lidzki zamek był świadkiem i wielu innych burz politycznych i wypadków ściśle z dziejami Litwy złączonych, lecz niepodobna nam tu je powtarzać.

Przejdźmy teraz do innego zamku, którego samo wspomnienie zgrozą litwina przejmuje. Jest to *Krewo* — stolica księztwa Krewskiego i Witebskiego. Sławne to i wiekopomnemi wypadkami w dziejach litewskich uświęcone miejsce. Grodziska, kurhany, pieczary podziemne, dowodnie świadczą o starożytności tej osady. Grodzisko, albo jak tu nazywają Herodyszcze, na 10 sążni wyniesione nad poziom, stromo w ostrokrąg skopane, ma loch podziemny. Zwaliska zamku murowanego, z czerwonej cegły mają jeszcze i dziś z górą 12 metrów wysokości. Obwód zaś ich prostokątny zawiera przeszło 100 metrów. Najlepiej zachowała się wielka baszta od północy, na 3 piętra wysoka. Dotąd jeszcze w groźnych jej rozwalinach otwory trzypiętrowych okien gotyckich widzieć się dają, a pod niemi małe okno więzienia zamkowego. Podstawa tej baszty aż do wysokości 4 metrów nad ziemię, jest z wielkich kamieni polowych, tak jak i wszystkie mury na około, wyżej zaś, ściany wszystkich pięter, chociaż z tegoż materyjału murowane, wielką jednakże i gładką cegłą podwójnie wewnątrz i zewnątrz są wyłożone.

W temto więzieniu zamkowem, o którem wspomnieliśmy wyżej dokonał życia bohater litewski, książe Kejstut.

Wojdyłło, o którem wyżej, wspomnieliśmy był sprawcą nieporozumień między księciem Kejstutem, a synowcem jego Jagiełłą. Po śmierci Gedymina, Krewskie księstwo dostało się Olgierdowi, a więc prawem sukcessyi przeszło na Jagiełłę. Kiedy w r. 1381 Kejstut zasiadł na stolicy litewskiej w Wilnie, Jagiełło z matką Julijanną Olgierdową, osiadł w Krewie w ojczystej dzielnicy. Wszakże wspierany i podjudzany przez krzyżaków, opuścił wkrótce to ustronie i wojnę stryjowi wypowiedział. Tłumaczą ten czyn Jagiełły i jeszcze smutniejsze daleko następstwa tem, że siostra jego Maryja, pałając nienawiścią ku Kejstutowi za śmierć jej męża Wojdyłły, namówiła Jagiełłę do tego kroku. Kejstut o niczem nie wiedząc, szedł z wojskiem do Nowogrodu Siewierskiego, którego książe Dymitr Korybyt, księstwu moskiewskiemu poddać się zamierzył. Kejstut wezwał i Jagiełłę jako lennika żeby mu ze swoim posiłkiem towarzyszył na wojnie. Lecz Jagiełło mając po sobie krzyżaków, a w porozumieniu z namiestnikiem w Wilnie Hanulem, gdy stanął na czele wojska udając że idzie połączyć się ze stryjem: nagle zwrócił się ku Litwie, i napadł na obóz Witolda. Zabiwszy mu 1000 ludzi zmusił do zamknięcia się w Trokach, a sam zdradziecko opanował Wilno. Uwiadomiony o tem Kejstut pośpieszył z Rusi, przybyli wierni Żmudzini, wystąpił Witold z Trok i silne wojsko zbliżało się ku Wilnowi. Jagiełło widząc że walka nierówna i że go czeka kara za przeniewierstwo, posyła do obozu Kejstuta brata swojego Skirygajłłę, wzywając stryja do zgody i zapraszając go do obozu Jagiełły dla osobistej rozmowy, zaręczając za pełne bezpieczeństwo osoby jego i syna Witolda. Kejstut i Witold ufając zapewnieniu przybywają do Jagiełły, lecz zamiast przyjemnego powitania, porwani, okuci w kajdany i do Krewa do więzienia odesłani zostali. Tam ciemnością i wilgocią otoczony, pan i bohater litwy cztery doby przepędził. Witolda osadzono oddzielnie. Stryjkowski z właściwą sobie prostotą tak o tym wypadku pisze:

„Tam był Kejstut w smrodliwej wieży nad wodą, wrzucony, i osadzony mocną strażą. Piątej potym wypadku nocy Kiejstut Gedyminowicz książe przesławne, dzielne, mężne, w fortelach i w staczaniu rozmaitych bitew przeważne, przemyślne, murem litewskim nieprzebitym i basztą mocną przeciw najazdom niemieckim będąc, drugi Achilles, Hektor, Aiax, Misses i Herkules litewski i żmudzki, *udawion jest z rozkazania Jagiełłowego.*

Oprawcami byli *Proksza* podczaszy Jagiełły z bratem *Bilgenem, Mostew, Getko, Lisica, Żybintis* i *Kuczuk.* Oni to złotym sznurem od ferezyi Kejstuta udusili.

Rzecz godna uwagi, że do ostatnich czasów—w Krewie mieszkała rodzina Kuczuków, jakoby pochodzących od owego mordercy Kuczuka. Czy tak jest, stanowczo powiedzieć trudno, to wszakże pewne, że ci nieszczęśliwi Kuczukowie przez tyle już wieków pokutują za grzech swojego praojca; mieszczanie bowiem Krewscy, dotychczas tradycyjnie cześć dla Kejstuta i nienawiść ku jego oprawcom przechowali.

Dla młodego naówczas Witolda ten sam los był przygotowany. Jak już powiedzieliśmy osadzono go w innem miejscu, w pałacu książęcym. Piękna Anna Świętosławówna małżonka księcia Witolda zdołała wyjednać pozwolenie odwiedzenia czasami męża w więzieniu. Miłość natchnęła ją poświęceniem i wskazała środek ocalenia ulubionego. Ubrała go po niewieściemu w szaty swej panny, która z nią wstęp do więzienia miała, tak zręcznie wszystko urządziła, że najbezpieczniej uwieść go zdołała, a w zamku zaledwo na 3ci dzień ucieczkę Witolda postrzeżono, kiedy on już się zbliżał ku Mazowszowi, gdzie u szwagra swojego księcia Janusza Mazowieckiego, znalazł tymczasowe schronienie.

Odwetował swą nienawiść Jagiełło, mszcząc się na niewinnych Widymuncie i Butrymie, bojarach żmudzkich, oraz kilku innych, których pościnać rozkazał za to tylko, że byli blizcy krewni Biruty, małżonki Kejstuta, a matki Witolda.

Zamek Krewski istniał jeszcze do czasów Aleksandra, kiedy go tatarzy zburzyli i Herberstein, o którym wspominaliśmy, był w Krewie w 1518 i znalazł już zamek w ruinie.

Pozostaje nam jeszcze dodać do miejsc z któremi związane wspomnienia historyczne w gub. Wil. *Holszany, Gieranony, Swir* i *Dubicze*, opuszczając wiele innych. Holszany, były dzielnicą Holszy syna Romunda księcia litewskiego —który założył Holszany, a następcy jego przezwali się Holszańskiemi. Jedna z córek Holszańskich, Wijanna była małżonką Witolda; inna znów była czwartą żoną króla Jagiełły. Ostatni z rodu ks. Holszańskich był biskup wileński książe Paweł Holszański, który jako bezpotomny, Holszany testamentem przekazał Zygmuntowi Augustowi. Wysoka góra w górnej części usypana zawiera ślady tylko ruin zamku holszańskiego.

Przeciwnie w Gieranonach zwaliska dawnego i wspaniałego zamku ocalały dotąd. Zamek ten był czworoboczny z basztami po rogach okrągłemi, przekopem otoczony. Gieranony były własnością rodziny chociaż nie książęcej, ale bodajże najstarszej z bojarskich na Litwie i Żmudzi, Gastondów, albo Gasztoldów. Początek ich sięga XI wieku, epoki Erdziwiła. Gastond pierwszy sprowadził franciszkanów i pierwszy kościół katolicki założył w Wilnie. Inny, znów był pierwszym mężem Barbary Radziwiłłówny, małżonki Zygm. Aug. Znakomity ten ród piastował zawsze pierwsze urzęda w kraju, słynął z bezprzykładnej prawie ofiarności na chwałę Bożą i oświatę publiczną.

Nad pięknem i rozległem jeziorem, Swirskiem— zwanem Swir, dziś miasteczko ubogie, od wieków dziedzictwo sławnych książąt Swirskich, od Dowmonda ks. lit. w XIII wieku początek swój biorących. Była nawet dzielnica osobna Swirska, której Swir był stolicą. Nad samem miasteczkiem wznosi się na kilkadziesiąt stóp wysoka i ręką ludzką sypana góra, na wierzchu płaska — była to posada dawnego zamku Swirskich. Dziś nie ma już ani śladu zamku, a ostatni z tego znakomitego w dziejach rodu umarł niedawno bezdzietny, w zupełnem ubóstwie; ale umarł leżąc na kufrze na którym dokoła były wyryte mitry książęce, wewnątrz zaś zawierały się mnogie przywileje i nadania Swirskich, których pilnował gorliwie aż do śmierci.

W powiecie lidzkim, śród puszcz i bagien, które przerzyna rzeczka Kotra, a wśrodku prawie jezioro Polus, na tem ostaniem, na wyspie istnieją jeszcze fundamenta zamku obronnego. Miejsce to nazywa się Dubicze. Znane są niektóre akta publiczne, tu w Dubiczach przez Witolda podpisane.

Z miast powiatowych gub. Wileńskiej mówiliśmy tylko o Lidzie i Trokach, z któremi wspomnienia dziejowe związane. Inne miasta powiatowe, jak Oszmiana, Święciany, Wilejka i Dzisna nie nastręczają nam żadnych prawie wspomnień historycznych z epok odleglejszych. W Dziśnie są okopy batorowskie, usypane kiedy król szedł wyprawą na sąsiedni bo o 6 mil tylko odległy Połock; za Święcianami, zaraz prawie za rogatkami miasta jest góra perkunową do dziś dnia zwana. Należy do majątku Cyrkliszek hr. Mostowskich. Podług tradycyi miał na niej przed wieki stać posąg boga Perkuna. d. c. n.

JAK NALEŻY ROZWIJAĆ UMYSŁ DZIECKA?

napisał

Aleksander Głowacki.

(ciąg dalszy)

2) Dotyk.

N. Oto jest na stole kilka nowych przedmiotów, bierz każdy z nich do rąk, dotykaj zamknąwszy oczy, a następnie ułóż w grupy według podobieństwa.

U. (Ustawia).

I	II	III
Ołówek,	jabłko	kostka,
zapałka,	piłka,	pudełko od kart.

N. Dla czego tak je ułożyłeś?

U. Dla ich podobieństwa. W pierwszej grupie są *podłużnowate*, w drugiej *okrągłe*, w trzeciej *graniaste*. Tak więc za pomocą *dotyku* można poznać formę przedmiotów.

Inne grupy.

I	II
groch,	piłka,
śrut,	jabłko.

N. Czem się różnią te dwie grupy, a z czego są do siebie podobne?

U. Podobne są z *formy* (okrągłe); różnią się *wielkością*, przedmioty bowiem z pierwszej grupy są mniejsze od przedmiotów z drugiej. Za pomocą więc dotyku można poznać wielkość przedmiotów.

N. Czy za pomocą dotyku mógłbyś poznać formę i wielkość domu, drzewa, góry?

N. Nie, tylko za pomocą wzroku. Dotyk zatem przydaje się wtedy gdy przedmioty są niezbyt wielkie, lecz po większej części takie, które można wziąć do ręki.

N. A czy mógłbyś poznać dotykiem który z dwu włosów jest cieńszy?

U. Także nie, bo przedmioty te są zbyt małe.

Inne grupy.

I	II
cegła,	marmurek,
piaskowiec,	kostka szklanna,
drzewo niedobrze wygładzone.	kostka stalowa. } wypolerowane.

Grupy te uczą nas, że za pomocą dotyku odróżnić można przedmioty gładkie od chropowatych, czyli poznać powierzchowność przedmiotów.

I	II	III
kamień,	woda,	para wychodząca z samowaru,
żelazo,	nafta,	powietrze wypychane ustami lub
drzewo.	ocet.	mieszkiem.

Więc za pomocą dotyku poznać można stan skupienia ciał i odróżnić ciała stałe od płynów i gazów.

I	II	III	IV
piasek,	pomada,	gąbka,	drzewo,
mąka.	masło.	sukno.	kamień.

Pierwsza grupa obejmuje ciała *sypkie*, druga *tłuste*, trzecia *miękkie*, czwarta *twarde*,— które to własności są również dostępne dla dotyku.

I	II	III
nóż,	karafka,	krzesło,
pudełko.	lampa.	stolik.

Biorąc po kolei, z zamkniętemi oczyma, przedmioty te do ręki, dziecko przypomina sobie nową własność: *ciężar*.

I	II
lód,	woda gorąca,
śnieg,	płomień.

Grupy te wskazują przystępną dla dotyku *temperaturę* przedmiotów.

Układam z kolei po ziarnku grochu i śrutu na prawym i lewym brzegu stołu, każę na grupach tych położyć mu ręce i powiedzieć, jaka jest różnica między grupami?

U. Jakościowej różnicy nie ma, lecz jest różnica *położenia*, jedna bowiem grupa leży po *prawej* stronie stołu, druga zaś po *lewej*. Położenie zatem przedmiotów daje się ocenić za pomocą dotyku, rozumie się o tyle o ile przedmiot jest dla ręki dostępny.

Kładę teraz w jednym szeregu trzy, w drugim zaś dwa ziarna grochu; każę uczniowi dotykać się ich z zamkniętemi oczyma i określić różnicę między temi dwoma grupami.

I ○ ○ ○

II ○ ○

U. Różnica tych dwu grup polega na *ilości*; ilość więc jest do pewnego stopnia dostępna dla dotyku. (Następuje wyliczenie własności dostępnych dla dotyku).

3) **Smak i Powonienie.**

Podaję pewną liczbę przedmiotów uczniowi, każę je wąchać i smakować, a następnie układać w grupy.

Uczeń układa i objaśnia:

I	II	III	IV
pieprz, gorczyca.	cukier. miód.	ocet, kwas szczawiowy.	kamień, szkło.

Grupa pierwsza jest *gorzka*, *piekąca*, druga *słodka*, trzecia *kwaśna*, czwarta *nie ma smaku* i t. d.

Inne grupy:

I	II
śledź nie wymoczony,	mięso w miarę osolone,
herbata przesłodzona.	herbata w miarę osłodzona.

Dwie te grupy różnią się tem, że przedmioty pierwszej wywołują wrażenia *nieprzyjemne*, zaś z drugiej *przyjemne*.

Inne grupy:

I	II	III
fijołek,	kwas karbolowy,	kamień,
róża.	chlorek wapna,	szkło.

Pierwsza grupa ma zapach *przyjemny*, druga *nieprzyjemny*, trzecia *nie ma zapachu*.

N. Zamknij oczy i powiedz co teraz wydowam z pudełka?

U. Teraz różę, a teraz fijołek,

N. Omyliłeś się, bo różę wprawdzie mam, ale fijołka nie mam, tylko papierek skropiony perfumami. Dla czego zatem omyliłeś się?

U Dla tego że czując zapach pomyślałem przedmiocie, gdy tymczasem powinienem był tylko myśleć o zapachu i mówić: to pachnie tak jak róża, a tamto jak fijołek.

N. Czy inne zmysły zwodzą nas?

U Zwodzą. Patrząc np. na kwiat sztuczny zdaleka, mogę go uważać za naturalny; patrząc na automat z wosku, mogę go uważać za człowieka żywego i t. d.

N. W wypadkach tych, nie tyle winne są zmysły ile myśl która zbyt pośpiesznie sądzi. Wzrok od kwiatu sztucznego odbiera wrażenia prawidłowe: formy, wielkości i koloru, które jednak nie stanowią jeszcze rośliny prawdziwej, nie mówią o tem skąd kwiat pochodzi: z warsztatu czy z ogrodu? ani też o budowie wewnętrznej kwiatu, czy stanowi ją papier i wata, czy też roślinne tkanki? Tymczasem myśl pozaobrębem formy i koloru dopatruje jeszcze właściwych cech roślinnych i ona to błądzi.

4) **Słuch.**

N. Jakie wrażenia odbierasz za pomocą słuchu?

U. Takie jak: głosy ludzi i zwierząt, dźwięki, szmery i t. p.

(Uczeń grupuje głosy znane).

I	II	III	IV
Mowa, Śpiew.	gwizdanie, śpiew ptaka.	ziewanie, miauczenie	kichanie, kaszel.

V	VI
dzwonienie, dźwięk stron,	pukanie, strzał i t. d.

N. Czy myli się kiedy człowiek sądząc o rzeczach na podstawie słuchu?

U. Bardzo często. Ja np. słysząc gwizdanie myślałem o chłopcu, a to gwizdała dziewczyna. Innym razem, zdawało mi się, że słyszę w jesieni śpiew słowika, a to gwizdał chłopiec na glinianej zabawce i t. d. Są jednak wypadki w których słuch nas nie zwodzi, jeżeli tylko przyzwyczailiśmy się do słuchania. Ja np. poznaję ojca, gdy wstępuje na schody, wiem kiedy na fortepijanie gra mama, a kiedy siostra, umiem odróżnić turkot dorożki od turkotu drabiniastego woza i t. d.

N. Przypomnij sobie wszystkie poznane dotąd własności, pomyśl jakim sposobem poznaliśmy je i powiedz co nazywamy własnością przedmiotu?

U. *Własnością* przedmiotu nazywamy *sposób oddziaływania* jego na nasze *zmysły*.

Tabliczka poznanych dotąd kategoryj i własności.

Kategoryje	Ilość		Wzrok, Dotyk
	Położenie		Wzrok, Dotyk
	Jakość	Smak	Smak
		Zapach	Powonienie
		Dźwięki, Szmery	Słuch
		Temperatura	Dotyk
		Ciężar	Dotyk
		Rodzaj oporu: twardy, miękki	Dotyk
		Stan ciał: stały płynny gazowy	Dotyk
		Powierzchowność	wzrok
		Forma	wzrok
		Wielkość	wzrok
		Przepuszczanie światła	wzrok
		Odbijanie światła	wzrok
		Kolor	wzrok

(d. c. n.)

KONESEROWIE

Krotochwila w 1-m akcie, Jordana.

Autor tego scenicznego obrazka p. Jordan znany jest jako humorysta, obdarzony dowcipem łatwym lubo nie zupełnie oryginalnym, a przytem darem chwytania postaci prawdziwie swojskich: przeważnie szlachty wiejskiej; oficyjalistów, żydów i tym podobnie. Większa jego praca pomieszczona w Tygodniku Illustrowanym pod tytułem Wędrówki Delegata, cieszyła się ogólnem uznaniem. Otóż obecnie p. Jordan postanowił sprobować sił na scenie i owoce tych usiłowań oglądaliśmy ostatniemi czasy w teatrze. Przedmiot a raczej postacie które autor wprowadza na scenę, są też same co i w Wędrówkach Delegata. Rzecz dzieje się w Łowiczu na jarmarku. Przed oczyma naszemi przesuwają się istotnie typowe postacie szlachty starszego pokolenia i młodszych panków, żydów, harfiarek, faktorów, kramarzy i wreszcie typ jarmarkowicza, szczwanego lisa, który pod dobroduszną postacią i żołnierską nabożnością, kryje wszystkie siedm grzechów głównych a przedewszystkiem: nieczystość łakomstwo i obżarstwo. Utracyjusz i hołysz ale kuty w rzeczach zepsucia na cztery nogi, jest guwernerem młodzieży, którą uczy gry, pijatyki i rozpusty. Łapie on młodego Dyzia Dzięciołkiewicza — gapiątko jakich mało, wyzyskuje z niego pieniądze, sprzedaje mu włogawe szkapy, spaja winem i t. p. co wszystko razem wzięte stanowi przedmiot tej sztuki, mającej wartość fotograficznego obrazka, ale pozbawionej wewnętrznej jedności. Właściwie mówiąc niemasz tu prawie wcale, ani bajki wznaczeniu komedyjo-pisarskiem, ani głównego bohatera, jednolitości w prowadzeniu sprawy głównej. Dużo ruchu, gwaru szumu, chaosu, nawoływań, oszustów, katów i hulaków co wszystko doskonale maluje jarmark łowicki, ale nie stanowi jeszcze komedyi. Mimo to publiczność, częstokroć wybuchała niekłamliwym śmiechem, albowiem niebrak w tej sztuce dowcipów dość rodzimych, pozbawionych żółci, a pełnych humoru. Szereg takich typów znanych, uderzających w oczy prawdą, i zamaszystem zacięciem, przyczynia się do podtrzymania dobrego usposobienia publiczności aż do końca sztuki Wkażdym razie, jestto utwor autora zdolnego, ale nie mającego jeszcze pojęcia o tem, jakich warunków potrzebuje scena. Ten brak w prawy scenicznej sprawia, że wiele dowcipów, na które autor liczył, i które niezawodnie wydałyby się w czytaniu, tu przechodzą niepostrzeżenie, dalej że ów ruch i zamęt, który w książce podnosiłby realną wartość obrazu, tu zaciera i mąci akcyję główną, sprowadza bezład, i rozrywa uwagę widza.

Warunki jednak sceniczne, są rzeczą, która przychodzi z czasem i z wprawą, a swoją drogą autor, ze względu na przedmiot, który zdaje się stanowić jego specyjalność, znajduje się na dobrej drodze. Zamiast malować konwencyjonalne figury Bóg wie skąd przeniesione, albo zamiast dopasowywać mizerne figury arystokratów lub pejsatych demokratów, do jeszcze mizerniejszej, choć niby z postępem idącej tendencyjki, pan Jordan chwyta typy; bierze postacie nasze, czysto polskie, dzielne, barwne i zamaszyste. Postacie te charakteryzują się same. przez swoje położenie socyjalne, wychowanie, sposób zajęć: i t. p. Ci co twierdzą, że u nas życie tak blade i jednostajne, iż prawie wcale niemasz typów charakterystycznych, plotą trzy po trzy jak Piekarski na mękach. A szlachta? a oficyjaliści? a urzędnicy małych miasteczek? a chłopi? a żydzi? — Typy są — tylko autorom brak talentów — tak jest: ta-len-tów! Ot cała rzecz! Typów jest niewyczerpana kopalnia!

Ost...

ZA WOJENNYM ŚLADEM

POWIEŚĆ

ZE STEPÓW AMERYKAŃSKICH

KAPITANA MEYNE REID'A

PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO

Leokadyi P....

(Ciąg dalszy.)

Gdybym był spotkał ją w okolicznościach zwyczajnych to jest bez sposobności poznania ożywiającego ją dowcipu, mógłbym się był tak dobrze zakochać jak nie zakochać. Jej to rozum mnie podbił chociaż—nie on sam tylko. Taki sam kamień kosztowny, oprawiony mniej świetnie, mógłby nie zwrócić mojej uwagi. Ulegałem więc jednocześnie w obec przymiotów rozumu i serca.

Tajemnica natury ludzkiej, miłość moja była zupełnie czystą.

Pokochałem bez przyczyny, a teraz kocham bez żadnej nadziei. Miałem nadzieję, przed tą nocą fatalną. Spojrzenie jakie mi rzuciła z wieżyczki hacyjendy, a potem bilecik, wszystko to pozwalało mi marzyć przyjemnie. Wypadek balowy wszystko naraz zniweczył, ciemną twarz Iżurry miałem ciągle przed oczyma. Jaki jest pomiędzy niemi stosunek?.. może zaręczeni, może oni zaślubieni już nawet. Myśl ta pozbawiała mnie zmysłów.

Nie mogłem wytrzymać dłużej na posłaniu, wstałem żeby odetchnąć świeżem powietrzem, wszedłem na taras i przechadzałem się dużemi krokami.

Do zmartwienia przyczyniało mi się to jeszcze, że spostrzegłem zgubę która bardzo mnie zaniepokoiła. Nie miałem przy sobie rozkazu Naczelnego wodza, i biletu don Ramona. Zgubiłem je tego samego dnia kiedym je otrzymał i jak mi się zdaje, na podwórzu hacyjendy. Jeżeli znalazł je don Ramon pół biedy, ale jeżeli dostało się to w ręce jednego z wołopasów w skórzannym odzieniu, źle usposobionego dla Ramona, może być z tego bardzo nie miła dlań sprawa i dla mnie.

Czyżby w sztabie głównym zamknięto oczy na podobne niedbalstwo?

Opanowany przez ponure przeczucia skutków tego wypadku, byłem też zgnębiony jak nigdy.

Dla tej samej przyczyny, nie wątpiłem że nadejdzie czas na sprawdzenie się przysłowia „po burzy nastaje pogoda“ przysłowia które ma taką dobrą wartość w świecie moralnym jak i wświecie fizycznym. Pogoda była bliską...

ROZDZIAŁ XIV.

Szczególniejsze polecenie.

Zaledwie dotknąłem śniadania, które według obyczaju meksykańskiego składało się z filiżanki czekolady i z małego ciasteczka, z kieliszka koniagu i cygara. Na szczęście nie byłem tego rana na służbie bo bym się był bardzo źle z niej wywiązał.

Stałem na tarasie a burza która wrzała we mnie, nie pozwoliła mi zwrócić uwagi na to co się działo na około. Nie widziałem nic co się działo na placu, nie widziałem ani szeregowców, ani pastuchów, ani przekupek Indyjanek, ani ładnych dziewcząt wiejskich, nie widziałem nikogo.

Od czasu do czasu zwracałem oczy na mury hacyjendy, nie było tak daleko aby nie dostrzedz gdyby kto był na tarasie. Nikt się jednak nie ukazywał więc dwadzieścia razy ale co mówię z pięćdziesiąt mało razy, odwracałem zawiedzione oczy.

Około dziesiątej, sierżant dyżurny przyszedł mi powiedzieć że jakiś Meksykanin, chciał ze mną pomówić. Machinalnie kazałem go przyprowadzić i dopiero gdym go zobaczył przed sobą pomyślałem o tem co mam robić.

Obecność przybysza wyrwała mnie z zadumy, poznawałem w nim jednego z pasterzy donna Ramona de Vargas, tego samego którego widziałem na łące, w czasie pierwszego spotkania się z Isoliną.

W obejściu zdawało mi się, miał on coś takiego co oznaczało zaufanego posłannika, jakoż spostrzegłem że mam racyją, skoro wyciągnął bilecik z pod kaftana, obejrzawszy się naprzód naokoło czy nas kto nie widzi...

Wziąłem bilet—nie było na nim adresu, i ręką drżącą, złamałem pieczęć. Spojrzałem na list poznałem pismo, a serce odezwało się gwałtownie. Nie wiem co odpowiedziałem posłańcowi, tylko ażeby ukryć wzruszenie odwróciłem się i poszedłem w najdalszy kącik tarasu.

Przedewszystkiem kazałem mu zejść na dole zaczekać na odpowiedź, po czem czytałem co następuje...

d. Lipca 18...

Grzeczny Kapitanie! Pozwalam sobie przesłać ci dzień dobry, bo przypuszczam, że po bezsennej wczorajszej nocy, musi u ciebie być dotąd bardzo rano...

Czy też marzysz jeszcze o swojej czarnej piękności?..

Co za galant z ciebie kapitanie!

Kapitanie! miałam klaczkę faworytę, a jak kochałam to ładne stworzenie, łatwo zrozumieć temu, kto podobne uczucie żywi dla szlachetnego Moro. W fatalnej chwili—z twojej ręki zginęła faworytka moja, ale zapragnąłeś nagrodzić szkodę ofiarując mi swego czarnego bieguna. Wiem dobrze, jak go kochasz i doprawdy, gdybym była damą pańskich myśli z przykrością przychodziłoby mi znosić podobnego rywala. Otóż kapitanie zrozumiawszy wielkość ofiary, odmówiłam jej przyjęcia—sądzę jednak, że pan pragniesz uiścić się z długu...

Jest na to rada... posłuchaj.

Istnieje w tych stronach sławny koń, którego zwą białym koniem stepów. Naturalnie jest to koń zupełnie dziki o przepysznych kształtach, biały jak śnieg a szybki jak jaskółka. Ale czy to potrzeba opisywać panu białego konia stepów? Jako Tekseńczyk w swoim rodzaju, musiałeś pan o nim słyszeć. Otóż kapitanie! wielką mam chęć posiadać tego rumaka... Ponaznaczałam w tym celu nagrody strzelcom i naszym własnym pasterzom, bo koń biały pojawia się niekiedy na naszych łąkach, ale daremne były usiłowania!.. Nikt nie był w stanie go złapać. Niektórzy utrzymują że to jest niepodobieństwem, bo szybki jak błyskawica, niknie w jednem mgnieniu oka. Są i tacy którzy utrzymują, że ten koń to widmo, to zły duch pokutujący, ale czyż tak piękne stworzenie mogłoby być potępieńcem? Dyjabeł z resztą jak zawsze o tem słyszałam i jak mi nawet przypomniano to podczas balowej nocy... jest czarny nieprawdaż?..

Ale wróćmy do rzeczy panie kapitanie!

Niedowiarki utrzymują że biały koń stepów to złudzenie, zaprzeczają jego istnieniu. Caramba! ja wiem że istnieje, a nadto wiem nawet że był albo może i jest jeszcze—bo przed dwu godzinami zaledwie znajdował się o milę od miejsca w którem list niniejszy piszę. Jeden z naszych pasterzy widział go nad strumieniem, ulubionem miejscem jego pobytu. Dla wiadomych mi jednak przyczyn nie gonił go, nie straszył, tylko przybiegł co tchu, aby mnie zawiadomić o tem.

Otóż grzeczny i szlachetny kapitanie, jest jeden człowiek zdolny schwytać sławnego i tajemniczego rumaka, a tym człowiekiem toś ty... jeden jedyny.— Ty co wziąłeś już do niewoli to, co dotąd było równie wolne jak dzikie. Tak, pan tylko możesz tego dokonać, pan i pański Moro.

Przyprowadź mi białego konia, a przestanę opłakiwać biednej Lolity. Przebaczę panu wszystko... nawet pańską niegrzeczność dla mojej podwójnej maski. Ale przyprowadź mi pan konia... Ja chcę białego konia...

Isolina.

Kiedy skończyłem czytanie tego dziwnego zlecenia, zadrżałem z radości. Słyszałem o białym koniu, bo strzelcy, pasterze, kupcy i podróżni na całej granicy wiedzieli dobrze o nim. Słyszałem o nim opowiadania najrozmaitszych romantycznych historyi. Przy biwakowym ogniu opowiadano nieraz na ten temat powiastki całe. Od wieku występował on w legendach pionierów albo marynarzy stepowych, jak ich tu nazywano. Było to coś w rodzaju widma holenderskiego okrętu, który podobnie jak koń ów biały, miał niby władze pokazywania się w kilku naraz miejscach. Że istniał biały rumak, szybki jak wiatr, przepysznych kształtów, żeby się znalazło dwudziestu i stu nawet podobnych, pomiędzy tak licznemi dzikiemi stadami, błąkającemi się po rozległych stepach, o tem nie wątpiłem na chwilę. Sam widziałem i ścigałem nie jednego. Ale ten którego znano pod nazwiskiem *„białego konia stepów“* tem się wyróżniał od innych, że miał uszy czarne jak heban, z resztą był jak śnieg biały.

Tego właśnie konia z czarnemi uszami polecono mi złapać.

Jedno mnie uderzyło w tym liście „Wziąłeś do niewoli to, co równie dotąd wolne było jak dzikie.“

Nie śmiałem wierzyć odpowiedzi, która się odzywała w sercu.

Było naturalnie post-scriptum, ale tylko o interesie. Były tam szczegóły o tem, kiedy i gdzie, wktórem miejscu, widziano białego ko-

nia, z nadmienieniem że pasterz oddawca listu, będzie mi służył za przewodnika.

Nie namyślałem się długo nad tą szczególną prośbą. Jeżeli wypełnię polecenie, odzyskam stanowisko, jakie przed chwilą uważałem za zupełnie stracone. Postanowiłem natychmiast szczęścia sprobować. Tak kochana Isolino... Jeżeli to w mocy człowieka i konia, nim słońce zajdzie po raz drugi, biały rumak stepowy będzie twoją własnością...

ROZDZIAŁ XV.

Dzikie stada.

W pół godziny potem w towarzystwie pasterza wyjechałem spokojnie z osady. Kilku szeregowców ciągnęło za nami. Przebyliśmy rzekę w pław, na przeciwko wioski i dostaliśmy się na obszerne błonia.

Ludzie których ze sobą zabrałem, po większej części doświadczeni strzelcy, potrafili iść za śladem z zadziwiającą zręcznością. Polegając na nich, miałem wielką ufność w powodzenie wyprawy, tem więcej że i przewodnik dodawał mi otuchy. Oświadczył on mianowicie, iż ostatnim razem widział białego konia w towarzystwie dużego stada koni, a okoliczność ta wróżyła nadzieję tem łatwiejszego odszukania śladu. Bez tego łowy nasze na dzikiego rumaka, mogły być bardzo podobne do polowania na dziką gęś, której się nigdy nie złapie...

Podług chodzących powszechnie wieści, biały rumak który dziś był przy strumieniu, mógł nazajutrz o sto mil jakie stamtąd się znajdować, towarzystwo jednak stada pozwoliło mi przypuszczać, że jest jeszcze w miejscu wskazanem przez pasterza. Żeby go tylko zobaczyć, to już reszta należy do mego Mora, i do wprawy z jaką rzucałem arkan.

Wczasie drogi opowiedziałem mojej świcie cel wyprawy, wszyscy znali ze słuchu białego rumaka, a jeden czy dwóch utrzymywało, że go niezbyt dawno widzieli na stepie.

Cała gromadka cieszyła się i okazywała taki zapał jak gdyby zdążała na potyczkę z gierylasami.

Okolica którąśmy przejeżdżali była gęsto zarosłą krzakami i roślinami kolczastemi, z których słynie ta strona Meksyku, coraz jednak dalej pozór się zmieniał, powierzchnia mniej była zarosłą.

Zrobiliśmy już prawie dziesięć mil drogi nie zatrzymując się wcale, gdy naraz przewodnik nasz trafił na ślad manadów, a kilku strzelców potwierdziło to przypuszczenie, które zresztą wkrótce sprawdziliśmy dotykalnie.

Na pareset kroków przed sobą zobaczyliśmy dokładnie stado, podług zapewnień pasterza, to samo właśnie, któregośmy poszukiwali.

Dotąd poszło wszystko gładko, ale zobaczyć stado a uchwycić najbystrzejszego zeń rumaka, to dwie rzeczy zupełnie pono od siebie różne.

Tak mi mówiło przyspieszone bicie serca. Nie łatwo odmalować niepokój i nadzieję jakie uczułem, spostrzegłszy zdala tę dziką gromadę, nie domyślającą się zasadzki.

Step miał z jaką milę rozległości, równie jak poprzedni, otoczony był lasem, poprzecinanym polankami.

Dzika stadnina trzymała się na samym środku. Część zajęta była skubaniem trawy, reszta bawiła się latając tu i tam, to wspinając się jakby do walki, to puszczając się galopem, potrząsając w powietrzu ogonami i grzywami. Widzieliśmy to wszystko doskonale, mogliśmy podziwiać sierć miękką i piękną, połyskującą na słońcu. Maści były rozmaite, bułane, kasztanowate, czarne, białe (tych ostatnich najwięcej) były popielate, dereszowate, brudno żółte z białemi ogonami i grzywami, były kare, gniade i bardzo wiele z gatunku nazywanego w Meksyku *pintados* albo koń pstrokaty, (ta maść ostatnia nie rzadką jest, zwłaszcza pomiędzy *mustungami*), a wszystkie z prześlicznemi długiemi ogonami i grzywami, boć nigdy nożyce nie dotknęły się tej najpiękniejszej końskiej ozdoby.

Przypatrywaliśmy się uważnie, spostrzegaliśmy koni białych co niemiara, ale sławnego bieguna stepów jakoś nie było pomiędzy niemi. Spoglądaliśmy na siebie z zawiedzionemi minami, bo na raz i towarzysze i ja, zwątpiliśmy o dobrym skutku wyprawy. Truło mnie to, boć gdybym schwytał i odstawił całę tę dziką gromadę, nie zyskałbym nawet w nagrodę uśmiechu Isoliny. Ona pragnęła dowódcy rumaka, a tu go właśnie nie było.

Przewodnik dowodził że koń biały musi być gdzieś niedaleko, wierzyłem mu bom tego pragnął, a zresztą miałem zaufanie do człowieka, który spędził całe życie wpośród stepów, i z dzikiemi stadninami znał się doskonale.

Biały rumak mógł się znajdować niedaleko —może gdzie w cieniu sąsiedniego spoczywał lasku, może hasał na drugiej gdzie polance, w towarzystwie kilku wybranych faworytek. Jeżeli tak jest, to jak ciągle dowodził przewodnik, musimy go dopatrzeć bo zjawi się skoro tylko przestraszone klacze zarżą żałośnie na trwogę.

Plan zdawał się łatwym do wykonania, trzeba tylko było otoczyć klacze aby nie zemknęły w przeciwną stronę, zanim zdołamy się ku nim przybliżyć.

Wzięliśmy się zaraz do tej operacyi a pobliski lasek posłużył nam do osłonięcia manewru.

Rozruciliśmy się co tchu po stepie i biedne zwierzęta, ani się domyśliły że zostały otoczone sznurem strzelców, niby obręczą żelazną.

Ze wszystkich stworzeń dzikich, bezzaprzeczenia najdzikszym jest koń, zdaje się rozumieć los jaki go czeka w niewoli. Możnaby przypuszczać że zbiegi z szeregów naszych których czasami napotyka się pomiędzy niemi, opowiedzieli innym co to jest niewola i jakie się cierpienia przechodzi na służbie u ludzi.

Przeszedłem na przeciwny koniec stepu żeby się przekonać, czy obsaczenia dopełniono dokładnie, i ukryty pomiędzy drzewami niosłem już trąbkę do ust aby postraszyć stadninę, gdy nagle posłyszałem po za sobą głos jakiś przenikliwy. Opuściłem rękę a nadstawiłem uszy aby pomiarkować skąd głos ów pochodził, gdy na nowo doleciał mnie ten sam krzyk jakiś dziwny. Poznałem że to rżenie białego rumaka stepów.

Niedaleko od miejsca w którem się znajdowałem był wąski przesmyk, prowadzący do drugiej polanki, z tamtąd otóż usłyszałem teraz odgłos kopyt galopującego konia.

Pobiegłem naprzód i dostałem się co prawda wkrótce do skraju otwartego pola, ale rażące światło zachodzącego słońca, padając mi prosto w oczy, nic mi nie pozwoliło rozróżnić. Odgłos kopyt i przenikliwe rżenie dochodziły mnie ciągle...

Po chwili słoneczne światło razić mnie przestało i wtedy ujrzałem prześlicznego bieguna, cwałującego w stronę stadniny.

Nie można się było mylić—tak—to on, to ta sama białość śnieżna, te same uszy czarne, mocno czerwone nozdrza, biodra szerokie i symetryczna harmonija nóg.

Tak to on — król stepów, przemknął się obok mnie jak strzała, lecąc ciągle w kierunku stada.

Manady odpowiedziały na pierwsze wezwanie dowódcy, potrząsając żywo grzywami poczęły się szykować w linię z taką dokładnością jak wyćwiczony szwadron kawaleryi, gotujący się na powitanie nadjeżdżającego wodza.

Doprawdy widząc je w tej pozycyi z podniesionemi do góry łbami, można było myśleć że to orszak w szyku bojowym, i nie raz nawet podobno, zdarzyły się były omyłki tego rodzaju.

Teraz nie czas już było ukrywać się lub zmieniać taktykę — teraz nadszedł czas walki otwartej, w której szybkość i zręczność miały być decydującemi.

Spiąłem ostrogami Moro i za jednym susem znalazłem się w otwartem polu.

Rżenie białego rumaka było hasłem i dla towarzyszów moich—to też prawie na raz wszyscy oni wyskoczyli z lasu i rzucili się na stado z ogromnym krzykiem.

Ja nie spuszczałem oczu z białego konia, i gnałem ciągle za nim.

Dopadłszy do linii uformowanej przez klacze, biały rumak zatrzymał się, spiął dwa razy na tylnych nogach jak gdyby rozpatrywał drogę, zarżał przeciągle i poskoczył dalej w prostej linii.

Manady popędziły za nim naprzód w równej linii, potem słabsze coraz zostawały w tyle wkrótce cała gromada pędziła sznurem przez łąkę.

Rozpoczęła się gonitwa — jeźdzcy pruli konie ostrogami — ścigani zmykali z całych sił żeby się nam wymknąć.

ROZDZIAŁ XVI.

Polowanie.

Mój dzielny Moro wkrótce dał dowody swoich zdolności, wyprzedziłem jeden po drugim wszystkich towarzyszów, a gdy minąwszy drogę znowu się na step dostałem, b[illegible]łem już pomiędzy aryjergardą dzikich klaczy. Niektóre tak były ładne że z pewnością w każdym innym razie cisnąłbym im arkan na szyję, ale na teraz myślałem tylko o usuwanie ich z drogi, bo mi przeszkádzały w pogoni.

Wkrótce też zacząłem je wyprzedzać i nareszcie całe stado po za mną pozostało. Tak

całe stado oprócz... białego konia który ciągle pędził prosto naprzód, rżąc tylko od czasu do czasu, jakby dla pokazania że sobie ze mnie wiele nie robi. Dzieliła nas odległość znaczna i coraz się bardziej zwiększała.

Moro nie potrzebował ostróg ani cugli — zgadywał życzenie swojego pana i pędził jak strzała, kopytami dotykając zaledwie ziemi.

Zanim przebiegliśmy drugą łąkę, znacznie już sforsował białego, ale na utrapienie moje spostrzegłem iż tenże zagłębia się w zarośla.

Znalazłem przejście i leciałem dalej. Ucho służyło mi za przewodnika, bo gałęzie trzeszczały pod kopytami dzikiego konia, migającego się pomiędzy zielonemi liśćmi.

W obawie żeby go nie stracić z oczu, biegłem za nim co sił starczyło. Ani ja ani Moro, nie zważaliśmy na żadne przeszkody—chociaż te dosyć się często napotykały, szczególniej dokuczały mi nisko rozłożyste drzewa — przejeżdżając pod któremi kłaść się musiałem na siodle. Trapiło mnie to jednak, co bowiem dla mnie było zawadą, nie było przeszkodą dla białego rumaka stepów.

Wzdychałem żeby się wydobyć na czyste pole i uczułem prawdziwą radość, gdym się dostał nareszcie na powierzchnię, gdzie niegdzie już tylko porosłą drzewami.

Biały rumak który podczas leśnej gonitwy znowu wyprzedził mnie znacznie, biegł ciągle naprzód, pomimo że niedaleko widać już było zupełnie otwarte pole. Widocznie ufał swoim nogom, chociaż z takim przeciwnikiem jak Moro, z pewnością rozumniej było trzymać mu się lasu.

Jeszcze dziesięć minut i znaleźliśmy się na równych okiem niezmierzonych stepach. Teraz widziałem tylko gładką jak stół powierzchnię, nakrytą lazurowem sklepieniem niebios.

Szeregowcy zbłąkali się w labiryncie lasu i zaniechali pogoni. Stado manadów dawno już także rozproszyło się na wszystkie strony, na szerokim więc stepie obecnie dwa tylko widniały punkta, postać białego konia, który pędził niby na skrzydłach — ciemna sylwetka ścigającego jeźdzca.

Straszna to próba dla niezrównanego Moro. Przebyliśmy już z górą dziesięć mil drogi a dotąd nie użyłem nań choćby żartem, spicruty lub ostrogi. Dzielny konik ma także w gonitwie ogromny interes, honor nie pozwala mu się dać zwyciężyć...Co do mnie myślę tylko o uśmiechu kobiety, aleć czyż podobne powody nie doprowadziły już niejednego do utraty korony lub podbicia świata?..

Naprzód Moro naprzód! tego rywala musim doścignąć lab umrzeć. Nie ma już obawy, nie ma żadnych przed nami przeszkód, biały nieprzyjaciel ukryć się przed nami nie może.

Step odziany miękim kobiercem zielonym, równy jest jak uspione morze, nic nam nie zawadza na świecie. Do wieczora mamy jeszcze dobrą godzinę, musimy go schwycić, nim ciemność zapadnie.

Naprzód Moro—naprzód!

I pędziliśmy milcząco. Nasz przeciwnik zaprzestał rżenia, stracił widać zaufanie w siebie, boć jeszcze nigdy dotąd nie nacierano nań tak obcesowo i zbliska. Nic nie słychać tylko odgłos przyspieszonego biegu.

Już ledwie dwieście kroków oddziela nas od siebie, chwila jeszcze... jestem pewny zwycięztwa. Ostroga starczy do postawienia Mora w stosownej odległości—czas już skończyć tę szalono rozpaczliwą jazdę. No dzielny Moro!—jeszcze jeden skok i odpoczniesz sobie.

Spoglądam na arkan, wisi zwinięty przy siodle, jeden koniec mocno jest przywiązany do kółka, sprzączka silnie trzyma się przy gałce, węzeł dobry, wszystko jednem słowem w porządku.

Biorę zwinięty sznur na rękę, w której trzymam uzdę, biorę węzeł w drugą rękę i otóż zupełniem gotów... Wielki Boże! ale cóż się stało z białym biegunem?..

Przygotowując arkan odwróciłem odeń oczy na chwilę, i przez tę chwilę przepadł gdzieś biegun stepowy.

Machinalnie targnąłem cugle z taką siłą że o mało nie popękały, biedny Moro zatrzymał się i ponurem rżeniem zdradził jakąś niezwykłą trwogę.

Obróciłem się w jedną, w drugą stronę, przebiegłem step wzrokiem we wszystkich kierunkach, chociaż jedno spojrzenie było zupełnie dostatecznem. Step jak już wspomniałem był równy choć jabłko toczyć — nigdzie ani skały, ani drzewa, ani krzaku, ani nawet wysokiej trawy.

Powierzchnia zielonego kobierca wznosiła się zaledwie na dwa cale po nad ziemię. Wąż może nie zdołałby się ukryć, a cóż mówić o koniu.

Boże miłosierny co się stało z białym rumakiem?..

Nieopisane uczucie trwogi ogarnęło mnie całego, zadrżałem sam i poczułem że mój koń drży również podemną. Pokryty był pianą, ja również bez tchu byłem a jednak... czułem że mi włosy stają na głowie.

Była w tej sprawie całej, przerażająca jakaś tajemnica...

ROZDZIAŁ XVII.

Koń widmo.

Byłem już narażony na niejeden w życiu wypadek, ale były to niebezpieczeństwa zwyczajne w życiu ludzkiem, z których zawsze potrafiłem zdać sobie sprawę.

Miałem jednę nogę złamaną, drugą strzaskaną, wyzdrowiałem przecie—ocalałem na okręcie który zatonął i z którym również zatonęła cała załoga — ze trzydzieści muszkietów na odległość nic prawie nie znaczącą, skierowano w piersi moje, widziałem śmierć niechybną — a jednak lekki tylko postrzał otrzymałem.

Przyznajcie że to były niebezpieczeństwa nielada, nie uprzedzajcie się jednak do mnie. Nie myślę nigdy przechwalać się tem jakobym dobrowolnie się narażał, jakobym nie bał się niczego. Byłem nie raz przestraszony nie żartem, ale jeżeli wszystkie stopnie strachu jakich doświadczyłem w życiu, możnaby zlać w jedno uczucie przerażenia, nie wyrównałoby to ani w setnej części trwodze, jaką uczułem w chwili, gdym na miejscu osadził Mora wśród stepu.

Nie byłem nigdy zabobonnym ale w tej chwili nie mogłem się powstrzymać od przypuszczenia czegoś nadnaturalnego... Przyczyny naturalnej nie było żadnej, nie mogłem jej w żaden sposób odnaleść, nie mogłem zdać sobie spraw z niepojętego zniknienia zbiega...Często wyśmiewałem się z widma okrętu a tu widmo konia na własne zobaczyłem oczy.

Pasterze i strzelcy wystawiali zawsze białego rumaka w fantastycznym jakimś charakterze, wszystkie te ich opowiadania przyszły mi na pamięć. Wyszydzałem zwykle zabobony opowiadających, a teraz sam zmuszony byłem w coś niepojętego uwierzyć...

Chwilami zdawało mi się że snię, ale zaraz powracała świadomość czynów, widziałem siebie na siodle a pod sobą konia mojego spienionego, ziejącego, drżącego... Była to rzeczywistość com widział. Przypomniałem sobie wszystkie wypadki pogoni, toć widziałem białego konia, toć był takpewno jak go teraz nie ma.

Tak! pasterze i strzelcy mieli słuszność... Ten koń, to widmo...

Przygnębiony tą myślą siedziałem na siodle zgarbiony i milczący, błędne oczy wlepiłem w ziemię, arkan wypadł mi z ręki, cugle powiewały na karku Mora.

Jak długo przebyłem w tym dziwnym stanie, tego powiedzieć nie umiem—tak byłem zbity z tropu że nic nie wiedziałem co się ze mną dzieje.

Przypadkiem oczy moje padły na świeży ślad kopyt, i to dopiero obudziło mnie z odrętwienia. Gdyby pomyślałem sobie, koń biały był widmem w istocie—nie zostawiłby po sobie śladów.

Poszukajmy — pójdźmy za śladem aż do miejsca w którem rumak albo się uniósł w powietrze, albo musi coś przecie powiedzieć o sobie.

To sobie postanowiwszy ściągnąłem cugle i pojechałem za śladem, trzymając weń ciągle z wytężeniem wlepione oczy.

Ciągnęły się w linii prostej, i zrobiłem z jakie sto kroków gdy mój Moro zatrzymał się nagle.

Spojrzałem by się dowiedzieć o co mu chodzi i na raz, pierzchnęły wszystkie zabobonne przypuszczenia.

O trzydzieści jakie kroków dojrzałem duży pas czarny, w poprzecznym kierunku przerzynający łąkę. Zdaleka można go wziąść było za wąską rozpadlinę jakąś, ale gdym się zbliżył, zobaczyłem przepaść, jakby rozdarcie trzęsieniem ziemi spowodowane, bo otwór miał tę samę szerokość w głębi co i na wierzchu, a dno pokryte było szczątkami skał. Ściany doskonale prostopadłe tworzyły się z warstw przerozmaitej ziemi, wszystko to na bardzo nawet bliską odległość od brzegów, zupełnie nie widzialnem było. Przepaść z prawej swojej strony zdawała się kończyć niedaleko od punktu w którym się znajdowałem — na lewo przeciwnie mogłem widzieć, że stawała się co raz głębszą i szerszą. W miejscu gdzie byłem—przepaść głęboką była najmniej na dwadzieścia stóp.

Naturalnie że zniknięcie białego konia nie było już tajemnicą—zrobił skok szalony i zni-

knął. Można było rozróżnić znaki na gruncie obitym kopytami na brzegu przepaści, jak również można było dostrzedz poroztrącane kamienie w miejscu z którego skoczył w łożysko. Skręcił na lewo drożyną jaka była w głębi, silne uderzenie kopyt znać było widocznie na kamieniach.

Patrzałem na dół tej drogi, ale nic już nie było widać. Drożyna zakręcała niedaleko, moj zbieg minął już zakręt, napróżno szukałbym go oczami.

Nie było już wątpliwości że mi się zdobycz wymknęła, przekonany o niemocy odstąpiłem od zamiaru dalszej pogoni.

Ochłonąwszy trochę ze złości i zawodu, zacząłem myśleć nad tem, gdzie ja się znajduję.

Uczucie strachu które tak mnie męczyło przed chwilą ustąpiło już zupełnie. Znajdowałem się co najmniej o jakie trzydzieści mil od wioski, i ani wiedziałem w którym kierunku szukać by jej należało. Zresztą w żadnym razie puszczać się w nocy z powrotem nie było można. Wdzień pojadę za śladem, którego nie dojrzałbym teraz— trzeba więc tu na tem miejscu poczekać na słońce...

Byłem głodny—a co gorzej jeszcze, paliło mnie pragnienie, a tu ani kropli wody do około. Długa gonitwa podczas upału zmęczyła mnie strasznie, a koń znajdował się w takim samym stanie. To że nigdzie nie dostrzegłem wody, niepokoiło mnie bardzo, i nieznośniejszemi czyniło cierpienia fizyczne.

Rozpatrywałem dno przepaści, śledziłem go oczami o ile wzrok mój na to pozwalał, nie było tam jednak jak i na stepie ani kropli wody. Szczątki skał leżały na piasku i zwirze, ani kropelki tak upragnionego napoju, nie było widać na dnie zupełnie suchym, a jednak kiedyś... kiedyś... musiał przepływać strumień w tym naturalnym kanale.

Po chwilowem zastanowieniu przyszło mi do głowy że idąc ciągle dalej i uważając na dno, muszę odnaleść wodę. Szedłem więc na przód ciągnąc, konia za sobą nad brzegiem przepaści. Rozpadlina coraz dalej stawała się głębszą.

Słońce zachodziło, zmrok coraz większy zapadał, nie śmiałem jechać stepem po ciemku, mogłem wpaść razem z koniem w przepaść, tembardziej że jak zauważyłem, nie ta jedna tylko była, chociaż inne niebyły tak głębokie.

Noc coraz bardziej pokrywała stepy, nie śmiałem już wcale posuwać się dalej w pośród tylu niebezpiecznych przepaści, i trzeba było się zatrzymać nie znalazłszy wody. Do dnia bardzo daleko—pragnienie dokucza mi strasznie, perspektywa nie koniecznie wesoła...

Postępowałem jeszcze noga za nogą, kierując machinalnie koniem, gdy zauważyłem coś błyszczącego i wykrzyknąłem radośnie. Tak—wodę było widać i właśnie w kierunku w którym postępowałem.

Było to zapewne małe jeziorko, nie w głębi rozpadliny w której dotąd czyniłem poszukiwania, ale na powierzchni stepu.

Dążyłem w tę stronę nie bez pewnego niepokoju, bo się obawiałem żeby to złudzeniem nie było. Nie raz byłem zwiedziony podobnemi zjawiskami, chociaż nie spostrzegałem nigdy takiej mgły, jaka się unosiła nad tem jeziorem czy zjawiskiem. Kontury jego rysowały się widocznie na gruncie stepu, a ostatnie promienie zachodzącego słońca odbijały w wodzie.

Nie—to była na pewno woda!

Lubo nie bez obawy jakiego szwanku wsiadłem na koń i pobudziłem go ostrogą do prędszego biegu.

Dojechałem na jakie dwieście kroków do tego błogosławionego miejsca, z oczami ciągle zwróconemi na błyszczącą przezroczystą powierzchnię, kiedy nagle koń mój zadrżał i cofnął się.

Spojrzałem przed siebie żeby zobaczyć co to się znów święci, a lubo dobrze już było ciemno, mogłem jeszcze rozróżniać jako tako przedmioty.

Przepaść ukazywała się znowu rozwarta pod nogami i przecinała nam drogę.

Wystawcie sobie moję rozpacz kiedy spostrzegłem że staw, znajdował się na przeciwnym brzegu.

ROZDZIAŁ XVIII

Zaczarowana łąka.

Nie można było myśleć o dostaniu się na drugą stronę po ciemku, bo widocznie przepaść była w tem miejscu bardzo głęboką tak, że z trudnością dostrzegałem na dnie kamienie i głazy. Może uda mi się odnaleść przecie jaką ścieżkę do przebycia, chociaż to wątpliwe bardzo.

Ciemność otaczała mnie teraz głęboka, nie było co robić, trzeba było dać za wygranę i przebyć noc bez napoju, chociaż przewidywałem że będę musiał dużo z tego powodu wycierpieć.

Zsiadłem z konia a odprowadziwszy go od przepaści, zdjąłem zeń siodło i uzdę aby się popasł trochę.

Dla siebie nic do zjedzenia nie miałem, ale mniejsza oto, w tym stanie w jakim byłem, wolałbym szklankę wody nad wszystko na świecie.

Narzędzia jakiemi mogłem się posługiwać na tem improwizowanem obozowisku ograniczały się do karabina, myśliwskiego noża, rogu z prochem, torby myśliwskiej i manierki którą niestety za prędko jak teraz widzę wypróżniłem. Szczęściem że płaszcz byłem przywiązał do siodła, odwiązałem go teraz a otuliwszy się starannie, wsparłem głowę na kulbace i umieściłem się jak mogłem najlepiej w nadziei że zasnę.

I to złudzenie niedługo trwało... obracałem się z boka na bok, wpatrywałem w księżyc który ukazywał się tylko czasami, ginąc po za czarnemi chmurami, przesuwającemi się po sklepieniu niebieskiem. Kiedy się ukazał i rozjaśnił ciemnicę, niedalekie jeziorko błyszczało jak blacha srebrna. Woda zdawała się szydzić ze mnie—cierpiałem męki Tantala i czułem że istotnie mściwi bogowie, nie mogli cięższych wyznaczyć cierpień, dla nieszczęśliwego króla frygijskiego.

Po pewnym przeciągu czasu pragnienie uspokoiło się nieco, nie czułem już mąk tak dotkliwych. Może chłód nocny orzeźwił mnie trochę, a może i najprędzej znużenie i to niewygody przytępiły czucie. Zresztą mniejsza o przyczynę, dosyć że nie cierpiałem jak przedtem i na sen mi się zbierało.

Nic mi snu przerwać nie było w stanie, głęboka cisza panowała do koła, a nawet zwyczajne na stepie wycie wilka, nie dochodziło moich uszów. Miejsce w którem byłem, za puste było dla tego nocnego włóczęgi, któremu przypisują cnotę towarzyską. Jedyny ślad życia który mi okazywał że nie jestem sam zupełnie, były odgłosy kopyt Mora, odbijające się niekiedy na stwardniałym gruncie i szczęk jego dziąseł przeżuwających trawę. Ale były to echa bardzo dla mnie przyjemne i pozwalały mi spokojniej spoczywać.

Usnąłem i to snem twardym, bo mi się dużo naśniło.

Mary senne męczą nieraz ciało, tak jakbyśmy doświadczali rzeczywiście tego, co snem jest tylko właściwie. Po takich widzeniach fantastycznych, budziłem się nieraz znużony.

Sniło mi się wszystko cokolwiek przytrafiło mi się dnia tego, ale spotęgowane znacznie. Przebudziwszy się w jakiejś najprzyjemniejszej chwili, uczułem się skropionym, nie wodą jednak z jeziora, ale gwałtowną ulewą spadającą z obłoków.

W innych okolicznościach deszcz nie byłby mi bynajmniej przyjemnym, ale teraz powitałem go z okrzykiem radosnym. Grzmoty rozlegały się bez przerwy, błyskawice oświecały łąkę i teraz usłyszałem szmer prawdziwego strumienia, spływającego z szumem na dno przepaści.

Pierwszą moją myślą było zaspokojenie pragnienia, więc podnosiłem głowę i otwierałem szeroko usta, aby się napić ze źródeł niebieskich.

Chociaż padały krople duże i gęste, zdawało mi się że nie dość prędko padają, użyłem więc innego jeszcze sposobu. Płaszcz mój był nieprzemakalny, zrobiłem zeń rodzaj wiadra i postawiłem na ziemi. Wpięć minut nie wiedziałem już co to mieć pragnienie, a nawet dziwiłem się żem tyle wycierpiał z tak małej przyczyny.

Moro napił się z tego samego naczynia i na nowo zaczął skubać trawę.

Spód płaszcza pozostał suchym równie jak i miejsce które zajmował, wyciągnąłem się więc na tej zmoczonej przestrzeni, otuliłem się i zapadłem ponownie w sen głęboki, a grzmoty wtorowały mojemu chrapaniu...

MIEJSKIE I PRZEDMIEJSKIE
OBRAZY LWOWA.

(Szkice z bruku, pięter, parterów i suteryn, zarywające niekiedy i o posadzkę woskowaną)

Rysował
Teofil Szumski.

Przyznaję się otwarcie i bez zarumienienia, że nie będę mógł podać roku narodzin rzeczy, która weszła w życie na całem obszarze ziemi pod apostolskiem panowaniem najjaśniejszego domu Rakuskiego, a jednak o rzeczy tej a raczej o zajęciu się nią pisać zaczynam. Istota

ta nazywa się w mowie ludu „lunteryją“, a w języku urzędowym: K. K. (kajzerliche königliche)... *Lotto-Collectur*, i przynosi skarbowi kilkanaście milijonów rocznego dochodu. Kto ojcem jej, także nie wiem, ale wiem że system tej loteryi nie ma nic wspólnego z klasowym i zawiera tylko 90 numerów, począwszy od jedynki. *Ciągnienie*—także w mowie ludu od *Zihung* przepolszczone za uszy — ale właściwie losowanie, odbywa się co dwa tygodnie....

Przez dwa tygodnie dwa razy w miesiącu łamią się głowy wymyślając kombinacyje, płoną serca, budują zamki na lodzie.... Stróże kamieniczni zajmują w tej hierarhii pierwsze miejsce, żony ich i dzieci—to prorokinie—starsze *kumy*, to wyrocznie—zażywające tak wysokiej powagi jak nieprzymierzając ongi ów Józef w Egipcie, co przepowiedział lata tłuste i nieurodzajne. Do zwolenników tej nadziei, którą sprawiają sobie wedle możności za 10, 15, 20 i 30 krajcarów, należy także służba: i ta co chodzi w liberyi, i ta co befsztyki smaży i wodę nosi; należą ubożsi rękodzielnicy i biedne szwaczki, marzące o wygraniu posagu. I dla wielu jeszcze osób jest loteryja jeżeli nie środkiem błogiego podrażnienia się, to facecyją, która... anużby się zamieniła przypadkiem w cud, w spełnienie utajonych na dnie zamysłów!

—14-y i 28-y każdego miesiąca, jest najczęściej dniem losowania. Na kilka dni przed temi terminami co za chaos w czynnościach służby, jaka krzątanina, jakie zamysły.

— Słuchajcie no kumie — woła niemłoda już kobiecina niosąca na talerzu kilka bułek—słuchajcie—rzecze do spartego na miotle rezydenta kamienicy—pojutrze *ciągnienie*, a mojej Frani przyśniły się numera *co* z pewnością *wyjdą*.

— Aha!—odpowiada zagadniony w szaraczkowym spancerku, przebakierzając czapkę z lewego ucha na prawe.

— Chybaby już nie wiem co, żeby nie wyszły. Tylko widzicie nie mam pieniędzy, to możebyśmy postawili (to jest wzięli los) do spółki.

— *Ta* możeby i wyszły, cóż kiedy to bieda z temi pieniędzmi — nie mam jak pięć centów.

— Oj, to szkoda, bo powiadam wam kumciu, że mojej Franusi tak się śniło, jakby ot żywemi widziała oczami....

— Hm!—słuchajcie Szymonowo—odpowiada nieco ciszej kum, możebyście zanieśli co do żyda, mam tam kaftan zimowy żeby go założyć —ha?

— A cóż, dawajcie, z pewnością wygramy.

— No, to czekajcież chwilkę, pójdę... Albo nie, pójdę do *mojej* (moja, to żona) ona czasem lubi schować.

Poszedł tedy do ciemnej swojej izdebki, mieszczącej całą rodzinę i wyszedł po chwili niosąc na dłoni dziesięć drobnych miedziaków, dziesięć krajcarów.

Powraca i rzecze:

— Ot jest, ale to za mało.

— Aj! szkoda! Ale czekajcie Michale, zaniesę tylko bułeczki na drugie piętro i pobiegnę do *jednej* pani na pierwsze piętro, gdzie usługuję. *Taki* ja może co wydobędę.

Pobiegła Szymonowa na drugie piętro, a kum Michał zaszedł do szyneczku tuż, w sąsiedniej kamienicy. Może tam spotka znajomego i pożyczy szóstaczka. Szóstaczkami nazywają do dziś starą monetę austryjacką, wedle dawnego rachunku 6 krajcarów reńskich, obecnie trzymającą 10 centów czyli krajcarów.

Szymonowa wpada na pierwsze piętro, zagląda do kuchni i niespokojna, zarumieniona wchodzi do pokoju. Ledwo próg przestąpiła, kłaniasię pani której usługuje i pyta z cicha:

— A może jest pan? i zagląda ostrożnie do drugiego pokoju.

— Cóż to macie za interes do pana?— pyta z uśmiechem młoda lokatorka pierwszego piętra.

— Otóż to właśnie, że nie do pana — mówi ciągle stłumionym głosem Szymonowa. Ja tylko... widzi pani— cmok w rękę młodą kobietę.. Ja tylko z wielką nieśmiałością... Aj, jakie ładne dziateczki... o, już to Maniusia pani tak ślicznie wygląda—aniołeczek — zagaduje Szymonowa zanim przystąpi do rzeczy.

O! Szymonowa pewnie z jakąś prośbą—przerywa jej pani.

— Ach! żeby to pani wiedziała, jaki sen moja Frania miała tej nocy. Proszę pani, szła gdzieś taką ładną drogą wysadzoną drzewami, a na każdym drzewie siedział anioł i trzymał tablicę z numerem, a jeden aniołeczek, powiadała—całkiem był podobny do Mani tej pani, której mama posługuje. I ten aniołeczek miał aż trzy numera na tablicy, to jak raz na amboterno...

— Aco, nie mówiłam, że Szymonowa ma interes.

— Bodaj pani Pan Bóg dał zdrowie! ale ja *zdoprawdy*... z wielką nieśmiałością chciałam prosić choć o trzy szóstaczki.

— I to pewnie na loteryją?

—Niech się pani nie gniewa, bo kto wie, może *ja właśnie* będę tak szczęśliwa u Boga, *taj* wygram. Człowiek tak bieduje, ot proszę pani moje dziateczki jeszcze nie jadły śniadania.

— Otóż to, a na loteryją to ostatni grosz wydajecie.

— Moja pani—moja złota pani... będę Boga prosić... niech pani mi tego nie odmówi dla miłości boskiej. Te numera z pewnością wyjdą, to jakbym nie postawiła a wyszły, jakby mi kto serce wyjął. Ja to odrobię.

— No, macie, daję ale ostatni raz.

— A moja dyjamentowa pani! — wykrzykuje Szymonowa i zbiega. Ale na dole w sieni kum Michał nie sam. Szymonowa zachodzi ostrożnie—ba, to znajoma rozmawia z kumem, to kuma Janowa.

— Ot co powiecie—zwraca się Michał do zbiegającej—taż to naszej Janowej przyśniły się także numera.

— A jakie?

— Ho, ho— doskonałe (gdyż są złe i lepsze).

— 56—to raz—odpowiada Janowa.

— Jak Boga kocham, to cud!—krzyczy Szymonowa i chwyta się za głowę. Taż to 56 i mój numer co się Frani przyśnił.

— Patrzajcie, patrzajcie—kiwa Michał głową a Janowa proponuje spółkę ze trzech kapitałów. I trójka ta podąża do najbliższej filii urzędu loteryjnego, a w drodze toczy się rozmowa, którą kończy druga kuma argumentem:

— Chybaby szelma poszachrował, żeby nasze numera nie wyszły. — Wyjdą, jak amen w pacierzu, dodaje Szymonowa. Z lżejszym sercem i pustemi kieszeniami wracają wspólnicy do zajęć zwykłych, a kum Michał odgraża się, że jak tylko wygra terno (trafione trzy numery) to zaraz podziękuje za służbę a otworzy *grajzleraj* (kramik z wiktuałami). Janowa okazuje więcej skłonności do założenia szyneczku i fabrykowania zimnych przekąsek, a Szymonowa marzy, że Frania jej i Ludwinia *zostaną pannami*, bo je ustroi w kapelusiki.

W ten sposób spływają szóstaczki tysiącami do kas loteryjnych. Ubogi lud łudzi się i dla złudzenia odejmuje często ostatni kęs chleba od ust dzieciom własnym. Nie jeden sługa odrwi swego służbodawcę, byle na dzień przed losowaniem dotrzymać placu innym i za grosz skradziony, wyłudzony lub zaoszczędzony kupić sobie nadzieję nadziei.

Nadszedł dzień losowania. Przed lokalami *K.K.Lotto-Collectur*, o godzinie trzeciej z południa mnóstwo ludu różnych stanów, wszystko ubodzy, w tłumie tym wesołe twarze tylko chłopaków terminatorów rękodzielniczych, którzy przybiegli w pantoflach po kartki wylosowanych numerów dla panów czeladników lub majstrów. Drwią niekiedy niemiłosiernie: A co jest terno! ha?— A wygrałeś aspan dudka na kościele?— Dziewięćdziesiąt! dziewięćdziesiąt na *pierwszy ruf*, a bodajcie dunder świsnął jak głęboko odrazu schwycił — ostatni numer na pierwszy *ruf*! (Ruf pierwszy, to naczelny najprzód wylosowany numer — ruf! wywołany).

A dopieroż owe kumy i kumowie, woźni i niekiedy lud wiejski jakie stroją miny! A mowa tylko o tem, że gdyby bodaj o jedno *oko*, inaczej wypadło, byłaby wygrana. I o tym oku dużo i szeroko prawią, a owo sławne, katastrofę sprowadzające *oko*, oznacza właściwie jednostkę. Wylosowano naprzykład 46 a podane było 45— to znaczy: chybiłem tylko o jedno oko. Może być chybione i o kilka *ok*— o! gdyby nie te oka niedopisujące. Najczęściej one niedopisują, a jednak po dwu tygodniach taż sama historyja. Co to bowiem za przyjemność: wolno każdemu podyktować do rejestrów loteryjnych wszelkie cyfry aż do dziewięćdziesięciu, a jeżeli wylosują je —wygrana. Jestto *czarna* i *czerwona* ludu i proletaryjatu miejskiego i analogiczne wyrada namiętności.

Przepala częstokroć ta namiętność i najzacniejsze serca szukające w chwilowej i niedoli, ratunku. Opanowała naprzykład całą duszę żony człowieka, który w hierarchii społecznej zajmuje stanowisko dyjurnisty.

Dyjurnista

albo dyjetaryjusz wedle terminologii galicyjsko austryjackiej—to po prostu wyrobnik dzienny z piórem w ręku, w urzędach cesarskich albo autonomicznych, pobierający płacy dziennie jednego guldena. Za guldena tego musi pisać i przepisywać godzin ośm, niekiedy nawet załatwiać referaty ważniejsze. Nabywa czasem wprawy i biegłości takiej, jaką by się nie powstydził i urzędnik etatowy, ale brak mu—dyplomu. Jeżeli —co się zdarza, uznał w duszy, że źle zrobił szkół niekończywszy, kształci się

sam, powiększa zasoby kapitału umysłowego, ale to nic mu już niepomoże; choćby był Solonem i jak Herkules stawał do walki z losem—nic go nie zbawi jeżeli chciał uporczywie szukać karyjery jako urzędnik, gdyż brak mu—dyplomu. Tu nie o człowieka idzie, ale o dyplom...

Zajdźmy jednak do mieszkania dyjurnisty, któremu na imię Bonifacy a który mieszka w najuboższej gdzieś klatce przy ulicy *Koryta.* Uznojony pracą, znękany życiem, znużony przebytą z miasta drogą, wraca pan Bonifacy o godzinie czwartej po południu. Wszedł, spojrzał na dzieci a jest ich w jednej małej, zaduszonej izdebce troje i żona; spojrzał, usiadł i łza zakręciła się w oku.—Westchnął. Boże mój, a ja myślałem przed kilkoma jeszcze laty, że pokonam wszelkie przeciwności... a dziś—i poniósł rękę do głowy, którą troski z połowy obnażyły włosów.

Młoda żona przyniosła talerz zupy, chleba kawałek i kładnąc na stole rzekła:

— Jedz i posiedź w domu, ja... zaraz powrócę.

Na te słowa podniósł pan Bonifacy głowę i spojrzał na żonę. Na policzkach wycieńczonej nędzą młodej kobiety wykwitły dwa gorączkowe rumieńce.... Bonifacy uderzył się dłonią w czoło i zagadnął:

— A! te rumieńce — domyślam się gdzie chcesz iść, ta loteryja, loteryja zgubi nas!

— Nie loteryja, ale niedostatek... możemy wygrać—jutro już ciągnienie.

— Na Boga zaklinam cię! przestań się łudzić.

— Ot jedz, bo ostygnie i daj mi jeźli masz z pięćdziesiąt krajcarów.

— Nie mam.

— To i w domu nic nie ma.

— Na dom, to co innego.

— Daj mi więc, daj a zobaczysz, że wygramy, skończy się nędza nasza.

— Kobieto, zastanów się!

— Ha! kiedy niechcesz dać, to znajdę co jeszcze żeby założyć u żyda. Muszę, muszę iść, bo mam dobre przeczucie. Co ty myślisz, czyliż nie warto przecierpieć dzień jeden, dwa dni żeby wygrać a wiem że wygram.

— Szkoda, szkoda jednego grosza. Ale posłuchaj mię, moja kochana... Mówiłem ci o zabezpieczeniu zycia, o rencie; słuchaj, to myśl tak piękna, oszczędnością pracy naszej zapewnić tobie i dzieciom los jakiś, dolę znośniejszą po mojej śmierci. Te pieniądze, te, które obracasz na loteryją, składaj, niechbyś choć pięćset guldenów miała po mojej śmierci.

— Niech mię Pan Bóg broni, żebym spekulowała na twoje życie.

— Ależ to nie spekulacyja, to najpiękniejsza w świecie instytucyja. Anielciu masz przecie rozum, czytaj.

To mówiąc dobył z kieszeni maleńką książeczkę i położył na stole.

— Dobrze, przeczytam wieczorem, ale teraz muszę iść, muszę.—Ty marzysz o dalekiej przyszłości, a tu jutro już może nas szczęście ominąć.

To rzekłszy porwała z szaragów zarzutkę i drugą nowszą i wybiegła z rumieńcami na twarzy, z żądzą w sercu, z pewnością prawie, że jutro zbankrutuje kasa loteryjna, gdyż ona wygra. Tymczasem jednak udała się do lombardu żydowskiego, żeby zdobyć na fant kilkadziesiąt centów, na zbogacenie loteryi.

Kto tej biednej kobiecie, w gruncie uczciwej ale pijanej namiętnością, kto jej wskazał drogę do jednego z tych banków żydowskich, który wypożycza na fanty? Przed kilku laty zaprowadziła ją tam nędza, krzyczące potrzeby, litościwi lokatorowie sąsiedzi wskazali drogę, starsze i doświadczeńsze kobiety jej stanu powiedziały, że nie ma się czego wstydzić, i na poły uwierzyła. Zresztą i własne mówiło doświadczenie, że choć to upokarzające, nie pobija jednak gdy idzie o ratunek w nieszczęściu.

Nieszczęście jedno, choroba w domu, niedostatek, wywołało w domu dyjurnisty nieszczęsną maksymę, wypowiedzianą głośno przez głowę domu: Wolę sprzedać ostatnią koszulę jak szukać ratunku u znajomych i przyjaciół, a dyjabłu sprzedałbym duszę, gdyby dał co za nią.

Wyrzekł tak i niewiara zagnieździła się w sercu. Ambicyja tylko, jakieś niedogasłe iskry szlachetniejszych zasad, nie pozwoliły sprzedać tej duszy.

Ale sprzedało ją wielu i dobrze im z tym. Serwilizmem opłacili protekcyją pozorami zasad postępowych ujęli ludzi próżnych i zdobywają nawet karyjerę. Zasadą ich: kiedy cię wyrzucili przez drzwi, wleź oknem. Hasłem ich: przynajmniej znośniejsza egzystencyja. Ażeby to zdobyć, otrzepują gorliwie fotel z pyłu którego nie ma w chwili gdy szef biura myśli zabrać się do pracy; biegają na wyścigi po tabakierkę, gdy ją pan radca zapomniał w domu; gdy wychodzi z biura podają laskę, kapelusz; jeżeli deszcz puścił się niespodzianie, lecą w ulewę i przemokłszy do nitki, przynoszą suchy parasol, gdyż przez drogę z domu radcy do biura tulili go na piersi jak istotę najdroższą z narażeniem własnego palta.

Dotąd jednak mówiąc o katuszach moralnych i mniej moralnych czynach postaci nazywanych dyjurnistami, nie wspomniałem ani słowem o powierzchowności przynajmniej znajomego mego pana Bonifacego. Słowo daję, że człowiek ten—przepraszam dyjetaryjusz—wygląda jakby był nawet „dobrze urodzonym“. Na czole troska osiadła a początki łysiny czynią je poważniejszym, twarz, prawda znękana—usta cokolwiek skrzywione, zacięte, ale oko za to, oko mówiące o duszy, ciemne, zamglone i wąs ciemny, ale widocznie zaniedbany. Pan Bonifacy ubiera się nie elegancko, ale poważnie, czysto. Cylinder (kapelusz) tylko widocznie wiele musi cierpieć od szczotki, bo tak jak pan jego po trosze wyłysiał, ale czysty, nie ugiął się i razu, nie postrzeżesz marszczki ani jednej od kresy do denka na przestrzeni 12-o calowej. Zwykle ubiera się w tużurek granatowy, ale kiedy żona poskarży się, że złośliwa sąsiadka powiedziała jej: „co mi tam taka pani dyjurniścina“—to pan Bonifacy czuje się zniewolonym włożyć surdut czarny, i to imponuje. Na przedmieściu bardziej jak w mieście sprawdza się: jak cię widzą tak cię piszą.

Są i dyjurniści eleganci. Ci „zadają nawet szyku“ w niedzielę na Wałach hetmańskich i głoszą, iż są *praktykantami* bezpłatnie czas swój poświęcającemi. Trwa to lat kilka. Samodzielniejsi porzucają ten zawód, który jest prawdziwym *zawodem* i stratą czasu; mniej odważni marzą o „stancyi i wikcie“ niedrogim. To drugie łatwiej znaleść. Przez zabranie znajomości z panienkami w starej i znanej dobrze *Tanz-Schulle* (szkole tańców) Antoniego Schöna, wchodzą z czasem do domów panien, którym asystują w towarzystwie starszych kuzynek, a wieczorem przeprowadzają do mieszkań. Jeżeli matka nadobnej tanecznicy jest właścicielką *grajzleraju* (kramu z wiktuałami), to dyjurnista kawaler trafił na Eldorado. Po dobrej znajomości, dobry wikt ma zapewniony i tani. Obie bowiem strony zaczynają snuć w duchu nadzieje: biedna matka spodziewa sią, że przystojny ten chłopiec zostanie kiedyś urzędnikiem i— zięciem jej. Trzeba za tem dopomódz mu choć tym, żeby nie zrujnował się na „wikt“ a co ważniejsza nie *popsuł się*, gdyby zaczął uczęszczać do garkuchni z wyszynkiem wódek i piwiarnią połączonej.

Zaczyna się tedy życie weselsze. Panny z jaką starą ciocią uczęszczają do salonu *tanzszuli* pana Schöna na resursy, wieczorki zwykłe i niezwykłe, kawaler a *in spe* konkurent, jest ich nieodstępnym aniołem stróżem; zaczyna z czasem od westchnień, przyniesie bukiecik kwiatów, książeczkę ciekawą, i tak co wieczora, kiedy mama dobrodziejka wydaje w kramiku pieprzu za krajcar, cukru za dwa, masła za *szóstaczka*—panny tymczasem w przytykającym do kramiku pokoju czytają, lub słuchają miłego głosu przyszłego w ich mniemaniu przynajmniej sekretarza. Co to w sercu się dzieje, gdy stentorowym zanuci głosem:

Pocóżeś kochała, gdyś zapomnieć miała!
Pocóżeś wydarła sztylet z rąk.

d. c. n.

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Sulamita (pieśni wschodnie) przez Bogumiła Aspisa. Warszawa 1874 r. t. 1.

Utwór ten, drukowany przed kilku laty w jednym z czasopism naszych, a następnie wygłoszony dwukrotnie na odczycie publicznym, wyszedł w zeszłym roku w oddzielnej broszurze.

Poeta przenosi nas do wschodniej krainy Judei i przemawia potężną nutą namiętnego uczucia.—Pierś Sulamity drży siłą wielkiej miłości—gorącej, jak słońce wschodniego nieba, prostej i otwartej, jako głos serca dziecięcia natury. Nie przemawia ona słowami mglistych erotycznych uniesień, ale podniosłym dźwiękiem z ducha i z krwi zrodzonego uczucia. Miłość jej nie zna granic. Oddaje się całkowicie kochankowi, jak niewolnica panu swojemu.

„Chodź! (woła nań) — wejdź w sad wonny [myrry i safranu,
Co na mej piersi tu kwitnie dla ciebie,
Wszystko, co jest w nim, dam mej duszy panu,
Bo dając ziemię, sama będę—w niebie!“

Później, dusza dziewicy, rażona zabójczym ciosem mniemanej zdrady ze strony kochanka, przemawia głosem potężnej boleści, która wrzącemi wylewa się słowy:

„Uspokój się!"—ach, któraż mi to rzekła?
Kochała-ż ta, jak ja, spytajcie jej!
Zdradzonoż ją...rzucono tak w głąb' piekła,
Na łup swym łzom, na pastwę męce swej?."

„Uspokój się!"—Gdy w bólu głuchej ciszy
Tysiące mar wciąż szepcze w ucho ci:
— On rzucił cię!—on skargi twej nie słyszy!—
I przenieść to; o siostro...powiedz mi!?„

Dumna ta dusza nie da się porwać ułudom książęcego blasku, potęgi i bogactwa, nie chce schylić czoła przed królem Judei, który zstępuje z wyżyn swojego tronu, ażeby zakosztować rozkoszy na jej łonie. Poddanka nie chce być królową. Inne ona sobie stworzyła królestwo.

„Mam i ja tron swój (mówi do Salomona), [gdzie rządzę, jak królowa—
Miłość mu jest podsłaniem, a wierność balda-[chinem;
Pieszczoty ust tych oto — wonnych kadzideł [dymem;
Rumieniec mój purpurą; koroną—ta ot głowa!

Lecz czy nie upadnie pod przemocą!? Na myśl tę pierś jej gniewem zawrzała:

„......Jam śmiała (woła)—ja szpony mam szar-[piące
Jak sęp—i jak ja wściekłej nie znałeś śród [poddanek!!..."

Nie mogąc pozyskać tej dumnej dziewicy, potężny monarcha stawia przed jej myślą okrutne widziadło śmierci kochanka. Ta groźba zmusza ją do pozornego poddania się. Uwięziona w haremie, szamota się, jak orzeł w klatce. Zjawiający się pod przybraną postacią kochanek pieśnią o Samsonie i Dalili wzbudza w niej chęć zemsty i podsuwa truciznę. Sulamita chwyta się tej zbrodniczej myśli, jak kotwicy zbawienia. Lecz później ze wstrętem odrzuca ohydny zamiar. Wyrywa się jak lwica, z objęć Salomona, i nareszcie zażywa truciznę, przeznaczoną dla króla.

Oto dzieje potężnej miłości wschodniej dziewicy, wypowiedziane wierszem pięknym, prawdziwie poetycznym, nieco tylko pod względem formy monotonnym. Obrazy śmiałemi i naturalnemi skreślone barwami. Szczególniej podziwiać należy znakomitą plastykę, w której autor zdołał uniknąć wszelkiej trywijalności i powszedniości, trzymając się wszędzie na stopniu prawdziwie poetycznego nastroju. Zarzuciwszy tylko p. Aspisowi, iż pieśń jego gdzie niegdzie zanadto wrze ogniem cielesnym i obrazy w zbyt nagiej występują formie. Oto najjaskrawszy w tym względzie ustęp:

„Co!—on by śmiał, ten kat bez czci i Boga,
Przemocą tak się wedrzeć w moje łoże—
Śmiał na tę pierś, którą już ból w lód stęża,
Powalić się...tak mimo krzyki moje!?

Zwracamy też uwagę autora, iż nie należy używać podobnie zużytych choć w innego rodzaju sytuacyjach efektów, jak pojawienie się kochanka pod postacią starca-śpiewaka, który pieśnią swą pobudza do zrucenia jarzma przemocy.

Dziwnie dysharmonijną nutę z prawdziwą pięknością poematu stanowi mdławy bajroniczny nastrój przedmowy. Autor opisuje tu, że był czas na ziemi, kiedy wszystko było żartem, prócz jedzenia, picia i spania (!) snem bez marzeń, głazów snem zaklętym!!! Zabrakło pieśni, zabrakło poety. Wtedy p. Asp. chciał zwołać przed siebie tłumy i swą duszę natchnioną im ofiarować, ale... (o wielkości olbrzymia!)... czuł wstręt do tej gawiedzi (!)... i dla tego „w dzikim śmiechu konał jego szał bezowocny!" Aż wreszcie przyszła do niego w szacie niebiańskiej muza natchnienia, kazała mu śpiewać, i poeta usłuchał jej głosu. Sądziliśmy że minęły już wreszcie występowali przed tłumy z klątwą i pogardą na ustach, wołając! „Oto olbrzym staje przed wami, słuchajcie go karły! Czy wy zrozumiecie pieśń jego!? Dziwne zaiste, że p. Asp. przypomniał nam tę naiwną donkiszoteryję.

Partyja Szachów, powiastka przez A. Błydowskiego. Lwów. Nakładem F. H. Richtera. 1874. r. t. 1.

W skutek niecnej intrygi lekkomyślnej przyjaciółki, młoda, dobra z gruntu i poważnie myśląca, nie wolna jednakże od ogólnych wad kobiecych, mężatka p. Witoldowa, dozwala zbliżyć się do siebie adoratorowi w osobie zręcznego donżuana, który umie w razie potrzeby przyoblec się w zapożyczoną szatę szlachetności i bohaterstwa. Wyobraźnia kobiety zapala się, ale serce zostaje przy mężu. Ten ostatni, widząc jednakże niebezpieczeństwo, pragnie skutecznym lekarstwem ocalić zbłąkaną od zguby. Ośmiesza więc i poniża w jej oczach bohaterskiego donżuana, co sprawia zupełne odrodzenie w olśnionej sztucznym blaskiem duszy kobiety. Widząc, że ten, którego myśl jej uwielbiała, chce serce nie kochało jeszcze, okazuje się podłym tchórzem i nikczemnikiem, z pogardą odsuwa się od niego i bohaterskim czynem, wypiciem mniemanej trucizny zyskuje przebaczenie. Są tu więc tylokrotnie już opiewane dzieje zdrady małżeńskiej. Niema jednakże rzeczy, któraby, w właściwą i zręczną ujęta formę, nie mogła podnieść utworu do godności sztuki. Inne zresztą są wymagania od poważnej tendencyjnej powieści, inne od lekkiej obyczajowej powiastki. A przyznać musimy że, utwór p. B. odznacza się rzadkiemi w tym względzie przymiotami. Cechuje go przedewszystkiem zręczność i dowcip, tak w ułożeniu sytuacyi, jak i w kreśleniu pojedyńczych obrazów i osób. Widzimy tu typy, które na każdym kroku w życiu spotykamy. Nie są to ideały, ale prawdziwi ludzie krwią i duchem, z wadami i przymiotami swemi. Autor kreśli nam w zręcznej nader formie pełen prawdy dramacik, na tle życia powszedniego osnuty. Zbyt prędkie rozgrzeszenie nie nadaje bynajmniej utworowi temu niemoralnej tendencyi, gdyż właściwie winy żadnej tu jeszcze nie było.

Fijołki, nowella przez Wł. Szancera (Ordona) Lwów. Nakładem F. H. Richtera. 1874 r. t. 1.

Młody bogaty milord, złamany zawodem miłosnym, wpada w śmiertelną chorobę i udaje się do ustronnej willi włoskiej, aby tam w samotności przepędzić resztę dogorywającego żywota. Widzimy tu postać skamieniałą w boleści, kwiat usychający z braku słonecznych promieni uczucia, które ogarniało całą duszę młodego marzyciela. Postać to czysto kobieca, nie mająca w sobie żadnych cech męzkości. Podobny upadek ducha jest smutnym chorobliwym objawem i nie może stawiać bohatera w rzędzie dodatnich typów. Autor przedstawiając to patalogiczne zjawisko duchowe, winien był przedstawić mu świat innych podnioślejszych pragnień i dążności. Hrabia wszystkie siły ducha swojego skupił w jednym uczuciu miłości. Skoro ono go zawiodło, zerwała się nić, wiążąca go do życia Pod naciskiem takiego ciosu tylko karty upadają. Prawdziwy mąż zachwieje się tylko, straci na chwilę energiją czynu, lecz niebawem podniesie dumne czoło! Czyż hrabia nie znał innych pragnień i dążności? Jeżeli tak to rzeczywiście łzę litosci uronić nad nim trzeba, lecz zachwycać się niepodobna. W każdym razie autor mógłby opromienić utwór swój światłem podniosłej idei, wskazując bohaterowi swemu świat podnioślejszych uczuć, pod tchnieniem których dusza jego odżyłaby siłą nowego życia.

Zarysowawszy tak chorobliwą postać, autor w dalszym ciągu przeprowadzając z zupełnym brakiem psychologicznej prawdy. Hrabia miał jedno upodobanie: kochał fijołki—ostatnią pamiątkę szczęśliwej przeszłości. Jakaś tajemnicza dłoń codziennie wrzuca do pokoju jego bukiet z kwiatów tych cnoty. To zapala wyobraźnią chorego. Zbolały ten samotnik przeniewieża się sile uczuć, która go złamała, daje się unieść nowemu prądowi. Kocha istotę, której nie zna jeszcze, jakąś marę, w cielesnę nie przyobleczone szaty. Szuka jej wszędzie, lecz znaleść nie może, aż wreszcie w godzinę śmierci, kiedy po raz ostatni otwierą zamglone oczy, widzi przed sobą ów upragniony ideał i umiera z płomiennym ogniem nowej miłości w sercu. I pytamy się zkąd na gruzach tak potężnego uczucia w zbolałej i skruszonej duszy mogła się obudzić nowa, silna namiętność. Wogóle w całym tym obrazku, obok poetycznej prawdziwie barwy i silnego uczucia wieje woń jakiejś chorobliwej egzaltacyi. Widzimy tu świat nawskós idealny bez krwi i ciała.

Szkice z podróży w Tatry, skreślił Walery Elijasz (z 4 miedziorytami i litografowaną tablicą). Kraków 1874 r. t. 1.

W pięknych i artystycznych barwach opisuje nam autor obrazy miejscowości górskich. Ze względu na szczupłą nader ilość prac tego rodzaju, jak również ze względu na udatność tego utworu, polecamy go usilnie miłośnikom natury. Ci, którzy nie mieli sposobności morellna majestatycznej natury gór naszych, poznają ją choćby z opisu, a ci, którzy widzieli w rzeczywistości otworzą w sobie duszy przecudne jej obrazy. Praca p. El. uzupełnia opis doliny kościelskiej, skreślony przez doktora E. Janotę. Przy końcu dzieła pomieszczone jest na dużym arkuszu: Zestawienie wzniesień Tatr Beskidów i okolicy Krakowa, względnie do powierzchni morza Baltyckiego. Rzecz to bardzo ciekawa dla geografa.

Malowanki, dziesięć kolorowanych tablic, opisane rytmem dla drobnej dziatwy, przez Jana Chęcińskiego. Nakładem Gebethnera i Wolfa 1875 r. t. 1. cena rs. 1.

Widzimy tu zastosowaną metodę poglądową w nauczaniu dzieci. Przedstawione na rycinie przedmioty. objaśnia autor lekkiemi udatnemi wierszykami. Prostota, jasność i zarazem piękność, tak w treści, jak i w formie, zaleca tę książeczkę. Starannie wykonane ryciny mogą wpłynąć na wyrobienie gustu este-

tycznego w młodym pokoleniu. Wogóle praca to bardzo pożyteczna dla drobnej dziatwy. *Mis Edgeworth. Powieści dla młodszej dziatwy przekład Jana Chęcińskiego. z 9 rycinami Warszawa 1875 r.*

Autorka wprowadza myśl dziecięcą w świat rzeczywistości, odkrywając w pełnych prawdy obrazach dobre i złe jego strony. Znać tu prawdziwą znajomość duszy dziecięcej i umiejętność przemawiania doń w sposób jasny i przystępny. Budowa powiastki odpowiada całkowicie wszelkim wymaganiom estetycznym i etycznym. Przekład i staranne wydanie zalecają również tę książeczkę.

A. Pilecki.

NOWINY OGRODNICZE.

J. Hr. de Lambertye podaje jako środek bardzo skuteczny przeciwko mszycom niszczącym melony, obsypywanie ziemi pod melonami warstwą świeżego garbnika grubą na 2 i pół cala. Zdaje się że owady nie znoszą zapachu kwasu garbnikowego. Jeśli by to prawdą było, wypadałoby zastosować odwar z garbnika do niszczenia mszyc, będących prawdziwą klęską ogrodów owocowych, wstrzymujących często całoroczną roślinność. Odwar z tytuniu nie zawsze jest skutecznym a przytem drogo kosztuje.

J. Owoce wielu kaktusów jadalne są, a nawet niektóre odznaczają się delikatnym smakiem. Pewien podróżny po Meksyku opowiada że indyjanie tamtejsi poszukują szczególniej owoców opuncyj, (Opontia), kaktusów o łodydze płaskiej na wszystkie strony powyginanej. Owoce te podobne do fig świeżych, pięknego purpurowego koloru, smak mają słodko-kwaskowaty, lecz skóra na nich jest gruba i pokryta cienkiemi kolcami łatwo wbijającemi się w ciało i sprawiającemi bolesne zapalenia. Indyjanie dla usunięcia kolców wycierają mocno owoc garścią trawy. Inni indyjanie (Papejoes) robią na zimę znaczne zapasy owoców opuncyi i spożywają je gotując razem z mięsem.

W Niemczech od 3-ch lat robią się próby hodowania na wielką skalę, naszej smacznej jagody zwanej w Europie *wiśniową* a w półn. Ameryce skąd pochodzi „kranberry“ (Vaccinium macrocarpom). Roślina ta porasta gęstą murawą torfowe bagna z wyłączeniem tych tylko w których woda zimą i latem stoi. Rozmnaża się łatwo z rozłogów jak truskawka, kwitnie pięknie czerwono, owoce ma wielkie, także czerwonego koloru wyborne po ugotowaniu lub usmażeniu. W półn. Ameryce pomimo tego, że dziko rośnie, rozmnażają ją chętnie, szczególniej koło Nowego Yorku. Akr ziemi pokrytej wiśniową jagodą daje rocznie 150—200 buszli owoców po 2 i pół dolara buszel. W ostanich latach sprzedawano w New Yorku tych owoców za 200000 dolarów rocznie.

J) *Szybkie rozmnażanie— werben.* zastosowane przez Sandera z Hamburga polega na tem, żeby w sierpniu naciąć z nich sadzonek, (kawałków łodygi z liściami) ponasadzać w doniczki napełnione czystym piaskiem i przechować w inspekcie aż do zupełnego zakorzenienia się. Inspekt przykrywa się oknami których się nie unosi dla luftowania, (przewietrzania) werben, ani się ich od słońca nie ciennieje, trzyma się rośliny ciągle mokro. Werbeny takie w krótce zakorzeniają się, a w tedy luftuje się coraz bardziej, w końcu przesadza się pojedyńczo w doniczki i przechowuje w oranżeryi aż do wiosny.

Inni radzą ciąć je w lipcu, sadzić w doniczki zapełnione piaskiem, podlać tak mocno żeby woda stała nad piaskiem na parę cali, a następnie postawić pod ścianą na wystawie południowej i oknami na podpórkach ustawionemi przykryć. Podlewa się codziennie i kropi. W ten sposób traktowane werbeny podobno po 4 lub 5 dniach są już zakorzenione.

Tak samo dają się rozmnażać helijotropy, złocienie (chryzantheumm) i t. d.

J) Wiejscy właściciele ogrodów zwykle uskarżają się na szkody jakie im czynią zające, myszy polne i t. p. obgryzając w zimie korę drzew. Ze wszystkich używanych środków przeciwko tym szkódnikom najlepszym jest podobno pociąganie drzewek aż do wysokości trzech stóp od ziemi, mięszaniną mleka zsiadłego z sadzą, dosyć gęstą żeby ją można było pędzlem na korze pociągać.

J) *Dwa zbiory truskawek w jednym roku*: Landw. Anzeiger podaje co następuje: Zaraz po pierwszym zbiorze wczesne odmiany truskawek należy pozrzynać aż do korzeni, pulchną ziemią na parę cali pokryć i podlać. Rośliny wypuszczają w krótce nowe łodygi i liście; ukazujące się wąsy należy odejmować starannie. W skutek takiego postępowania w krótce ukazują się kwiaty i to obficiej niż pierwszym razem a w końcu lata lub na początku wiosny otrzymujemy obfity powtórny zbiór jagód.

Najskuteczniejszym środkiem odstraszania wróbli od wisien i winogron, jest używanie zwierciadełek złożonych z dwu tafelek zlepionych nitką pomiędzy niemi umieszczoną i zawieszonych na gałązce na której za najlżejszym powiewem kołyszę się. Ptaki boją się bardzo silnego światła szybko i bezustannie zmieniającego położenie.

ŚLADY ŻYCIA.

V.

Tyle życia, ile... w c z y n i e.

Lublin w Styczniu.

Gorej światła—grzmi muzyka—długi sznur par tenecznych jak wąż zwija się mieniąc mieszaniną barw przeróżnych — kipi war uciechy śmieją się twarze, dzwonią biesiadne kielichy.. Na miękkich kozetkach w głębi salonu samotne pary cicho gwarzą. — To może rozmowa róży i słowika—może gruchot gołębi... a może odłamy wyznań wzajemne—wyższa blaga salonu, utarczka na serca— łowy kuryjerowe!.. Eh marność marności, dawna kwestyja—jak świat stara, jak potok życia jednaką szumiąca falą... Tak powinienbym zacząć korespondencyję karnawałową, ale nasze miasto jak zwykle ciche spokojne—głuche nawet w chwili ogólnej uciechy ożywić się nie umie. Jednak nie można źle sądzić o Lublinie bo dał teraz świeże dowody że zabawę z pożytkiem ogółu łączyć umie. Ot niedawno mieliśmy koncert na dochód doli sierot.—Ochronka, gdzie dzieci biednych rodziców mogą się uczyć, gdzie znajdują łyżkę ciepłej strawy—opiekę ludzi miłosiernych, światło rozwijające młode główki... czyż może być instytucyja zasługująca na większą sympatyję ogółu.—Miasto i okolica dały dowody że tak jest w istocie —zebrawszy się licznie na koncert i zasiliwszy szczupłe fundusze ochronki.

Słuszna należy się podzięka pp. Helenie Eydziatowicz—której matka śp. Róża Rembielińska była założycielką ochronki, oraz Maryi Mikulicz—że nie zrażone tysiącznemi trudnościami doprowadziły do skutku myśl tak uczciwą i na uznanie zasługującą. Bo w Lublinie chcąc coś robić, trzeba dużej dozy wytrwałości, trzeba uzbroić się w cierpliwość — przeciwnościami i niechęcią nie zrażać się— a ludziska pogadają — potargują się — podraczą i zrobią nareszcie to co zrobić należy. —Zyskały zasiłek sieroty—ot i cel osiągnięty—koncert się udał, publiczność została zadowoloną.

Mieliśmy także wieczór tańcujący składkowy gdzie wieś i miasto bawiły się ochoczo pląsając noc całą. Nie chcemy tutaj palić kadzideł na cześć białych różowych niebieskich i t. p. sukienek, dalecy jesteśmy od grzesznej myśli uwielbiania, ciemnych, czarnych lub jasnych ocząt, nie podziwiamy zręczności danserów, co na obszernej sali dali dowody wyższej choreografii—ale protegujemy myśl połączenia wsi z miastem w jakiejkolwiek ona przejawia się formie.

Zawiązanie tych stosunków zbliżenie warstw społecznych choćby w celu wspólnej zabawy, jest faktem objawiającym zdrową myśl i dążność mającą pewne znaczenie. Jakikolwiek ma być początek niech będzie—i to dobre.

Zaznaczamy również, że i na wieczorku zyskali biedni.—Gospodarze woleli zamiast strzelających korków „Sillery drande mausse“ zebrać sześćdziesiąt rubli oszczędności — które rozdzielono pomiędzy biedne rodziny, aby opłacić wpis szkolny za ich dziatwę do tutejszego gimnazyjum uczęszczającą. I tak zabawa szła ochoczo bo do ósmej rano, a oszczędzony grosz, poszedł do tej skarbonki społecznej gdzie nic nie przepada, gdzie każda ofiara każde ziarno rzucone wyda kiedyś plon dla użytku przyszłości. — Gotuje się jeszcze jeden koncert na dochód niezamożnych uczniów gimnazyjum, gotują się bale publiczne na dochód Towarzysta Dobroczynności— urządzone przez komitet z członków tegoż towarzystwa wybrany, a jeszcze gotują się odczyty popularne przez członków Towarzystwa lekarskiego przygotowane—na dochód wdów i sierot po lekarzach.

Widzicie więc Szanowni czytelnicy, że i Lublin nie próżnuje, ale jak może i umie daje znaki życia.—Nie są one wybitne i wielkiej doniosłości alеż według stawu grobla. I na prowincyi są ludzie co chcą pracować pożytecznie, i na prowincyi żyją w sercach te myśli jakie w czyn wprowadzić chce rozumna wola ogółu. Serca wszędzie biją jednako— silniej lub słabiej ależ biją zawsze,—na chęciach nie zbywa, ale warunków nam brakuje — nasze

otoczenie, nasze prawa obecnego bytu — są trudne i długo trzeba się namyślać aby wynaleść dróżkę prędzej lub później wiodącą do celu.

„Kuryjer lubelski“ którego zmiana redakcyi tyle wywołała pisaniny—ze śmiercią redaktora Wdowińskiego przestał wychodzić.- Cześć zmarłym, nie chcemy poruszać sprawy, w której pan Głębocki pomimo najuczciwszego w świecie postępowania niesłusznie był szkalowanym. Prowincyja ma to do siebie, że lubi bryzgać błotem jeżeli tylko ma sposobność ku temu. Życzymy sobie wszyscy aby jak najprędzej nowy redaktor otrzymał koncesyją, a pisemko nasze w nowej szacie — ze świeżą siłą i jasno określonym celem—zajęło skromne miejsce w szeregu pism krajowych i przyczyniło się do ogólnej pracy dla postępu — i społecznego pożytku.

Bywaj zdrów karnawale!

Kto z nas będzie cię więcej żałował—młoda, czy stara prasa—nie wiemy—ale to pewna, że jeżeli pewnego rodzaju prasowanie po parze, jakie się w niektórych szczupłych salonikach odbywało, wyjdzie młodym na zdrowie, to starym zpewnością życia nie przedłuży. Najpewniejszą zaś rzeczą jest, że niezależnie od tego rodzaju prasowania, kilku członków młodej prasy wstąpiło w związki małżeńskie i że zapowiadany przez nas proroczym głosem fakt utworzenia się trzeciej prasy, *młodszej*, jest na drodze przejścia „z krainy marzeń w rzeczywistość!“ Gdy tym sposobem, każdy z karnawałów spełni co do niego należy, jest nadzieja że nie tylko *zlanie się środków* jak to miało miejsce niedawno we francuzkiem Zgromadzeniu Narodowem, ale nawet kompletne zjednoczenie różnych odcieni naszego papierowego parlamentu, nastąpi w krótce—Redakcyjom na chwałę a Literaturze na pożytek. Z tą myślą dojeżdżajmy do końca roku i...

Do widzenia karnawale!

Tymczasem nie podobna nie przyznać że w niektórych pismach daje się zauważyć jakby kołowanie około pewnych punktów stałych zwanym w świecie moralnym *idées fixes*. I tak, sędziwa *Biblijoteka Warszawska* objawia od pewnego czasu dążności filozoficzne dające się streścić w następującem ogłoszeniu:

„Potrzebną jest pewna liczba *idealnych realistów*,“ którzyby uwzględniali „wszechstronne wymagania natury ludzkiej.“ Ostrzega się przeto tych, którzy się do takiej wszechstronności nie przyznają, że w pierwszych dniach każdego miesiąca mogą się dowiedzieć z Biblijoteki jakiemi są ich przekonania filozoficzne. Do tego zaś czasu powinni się wstrzymać ze świadomością własnych poglądów.“

Tym sposobem, nie ulega wątpliwości że dzięki gorliwym zabiegom prof. H. S. liczba *idealnych realistów* w naszym kraju znacznie się powiększy.

Gazeta Polska znów inne cele sobie obrała i inne środki obrotu. Skończywszy w szeregu artykułów rzecz o stronie moralnej i materyjalnej w życiu ludzkiem — zaczyna obecnie opracowywać kwestyją strony materyjalnej i moralnej. Ponieważ zaś artykuły te dowodzą najwyraźniej że obie te strony najściślej łączą się ze sobą, jest więc nadzieja że Bibl. Warsz. zaliczy wkrótce Gazetę polską do organów *idealnego realizmu*. Podobny los spotka zapewne i *Muchę*, która od Nowego Roku stale łączy portrety idealne z realnemi karykaturami. Nawiasem dodajemy, że tego rodzaju eklektyzm, bynajmniej pismu temu nieszkodzi, i że jeżeli gdzie, to w humorystyce, idealny realizm, uwzględniając „wszechstronne wymagania natury ludzkiej,“ zarówno poważne (w portretach) jak i niepoważne (w karykaturach) znaleść może prawdziwie pożądane zastosowanie.

Czytamy w Gazecie Handlowej: Sprawa służby, żeńskiej szczególnie, niejednokrotnie była rozbierana przez prasę i poważne instytucyje. Zajęcie bowiem takie wywołane zostało przez obecne potrzeby, przez ujemny stan obsługi naszej domowej, przez demoralizacyją. Różne podawano środki zaradcze; były to jednak tylko paliatywy; jeden z nich tylko stosownym się dla sprawy tej okazał: mianowicie oświata. Otóż odnośne projekty poczęto wprowadzać w wykonanie, a za pierwszy na tej drodze krok uważać należy założenie specyjalnej szkoły dla służących przez panią *Ziemięcką* dokonane. Pani Z. przy ulicy Pięknej otworzyła szkołę elementarną, której akt inauguracyjny odbył się onegdaj, w obecności JW-nej Hrabiny Kotzebue i innych osób. W szkole wykładane są oprócz nauki języków rosyjskiego, niemieckiego i polskiego, roboty począwszy od szycia bielizny do kroju sukien i strojów.

Ktoby się też spodziewał że Warszawa może służyć za wzór zagranicy—i to w dodatku za wzór w kwestyjach brukowych! Tymczasem tak jest. Oto czytamy w piśmie niemieckiem poświęconem sprawom bankowym i handlowym. „W Hamburgu odbywają się próby urządzenia bruku z żelaza lanego. Zastosowanie podobnego bruku wprowadziła u siebie Warszawa na znacznych przestrzeniach z dobremi skutkami. Główne przymioty bruku tego są następujące; 1 szybkość w urządzeniu, 2 przyjemna jazda po bruku, 3 ani w lecie ani w zimie powierzchnia jego nie grozi ślizgością, 4 trwałe zostawanie równej powierzchni, nawet przy przewożeniu największych ciężarów, 5 łatwe ulatnianie się wilgoci, 6 nieznaczne koszta konserwacyi.“ Tak więc niech żyje bruk Warszawski,

---

Od kamieni przejdźmy do zwierząt, na zasadzie filozofii Dra Levitoux. Gdyby ludzie nieszczęśliwi mieli tak gorliwych opiekunów, jakim jest p. Bartels dla szczupłej gromadki swego ogrodu zoologicznego — to właściwie nie byłoby w cale nieszczęśliwych. W istocie trudno o większe poświęcenie dla raz powziętej myśli. P. Bartels chce koniecznie obdarzyć Warszawę ogrodem zoologicznym w rodzaju berlińskiego *Thiergartenu*. Zaczął skromnie, ale każdy początek rozumny musi być skromnym. Dla zapewnienia zaś instytucyi dalszego rozwoju utworzono tymczasowy komitet opiekuńczy i wyjednano zezwolenie władzy na zbieranie składek. Na tej zasadzie i my *upoważnieni jesteśmy do zbierania składek na rzecz Warszawskiego Zwierzyńca* który ma być pomieszczony w części parku aleksandrowskiego przy Zjeździe. Wkrótce podamy osobny artykuł celem wykazania niemałej doniosłości tego faktu zarówno dla przemysłu krajowego jak i dla celów naukowych. W tej chwili nadmieniamy tylko nawiasem, że między okazami jakie się już w zwierzyńcu znajdują do najciekawszych należy kilkudziesięciu przedstawicieli nowego, sztucznie wytworzonego gatunku *leporidów* czyli formy pośredniej pomiędzy zającem a królikiem.

A teraz wróćmy znów do protektorów *ludzkości*. Kto dożyje roku pańskiego 1995, ten będzie mógł korzystać z zapisu Dra Stanczukowskiego z Kalisza. Do tego bowiem czasu ofiarowany przez zmarłego kapitał 30,090 złp. leżyć ma nietykalnie na procencie, aż utworzy sumkę 30,000 000 złp. Zapisodawca niepominął prawie żadnej krajowej instytucyi dobroczynnej jest więc prawdopodobnem że nasze wnuki, kłócić się będą o sposób użycia kapitału podobnie jak to ma miejsce dziś z zapisem Staszica. Dla żyjących zaś niech ten fakt posłuży za naukę, jak łatwo dojść można od małych kapitałów do olbrzymich, oszczędzając rocznie (przez lat 120) po 6 procent o sta.

Odpowiedzi Redakcyi.

P. *Hołocińskiemu w Ossie*. Opiekun w r. zeszłym był panu wysyłanym do końca roku; nie pojmujemy jakim sposobem miałoby brakować całego kwartału III i dla czego pan odbierając k. IV nie reklamował o III. Kalendarz przy Nr. 51 był raz wysłany a teraz wysłaliśmy powtórnie. Co do wychowania wszystko to co wyszło t. j. Tomów 7 odebrałeś pan.

Pni. *Juszkiewiczowej w Kownie*. Pod wskazanym adresem posyłamy pani Opiekuna w r. b. pani Baczyżmalskiej wysłaliśmy Nr. 1 gratis jako Nr. okazowy—kalendarz posyłamy.

P. *Ołtarzewskiemu w Lipiu*. Kalendarz posyłamy co do otrzymanych 2 eg. Nr. 1 żadna nie zaszła pomyłka—jeden był jako Nr. próbny na imie pana, drugi na imię pani, ponieważ tak zaprenumerowano u nas, przez księgarnię Gebethnera.

P. *Hertz w Szlosbergu*. Nr. 1, 28, 29, 30 i 31 posyłamy, lubo reklamacyja zbyt przedawniona.

P. *Sobolewskiemu w Kownie*. Kalendarz posyłamy Nr. 2 musiałeś pan dotąd otrzymać.

P. *Szumowskiemu w Szczuczynie*. Nr. 52 był wysłany w swoim czasie, obecnie posyłamy po raz drugi.

P. *Ryger w Tomaszowie Raw*. Nr. 1 posyłamy

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.